

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

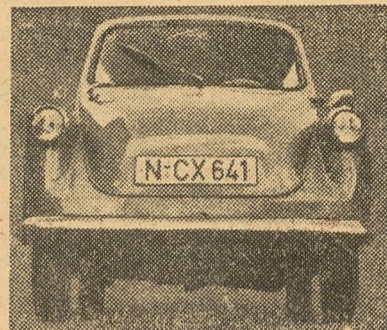
29. IX. 1957 r.

Nr 21

CENA ZŁ 1.50



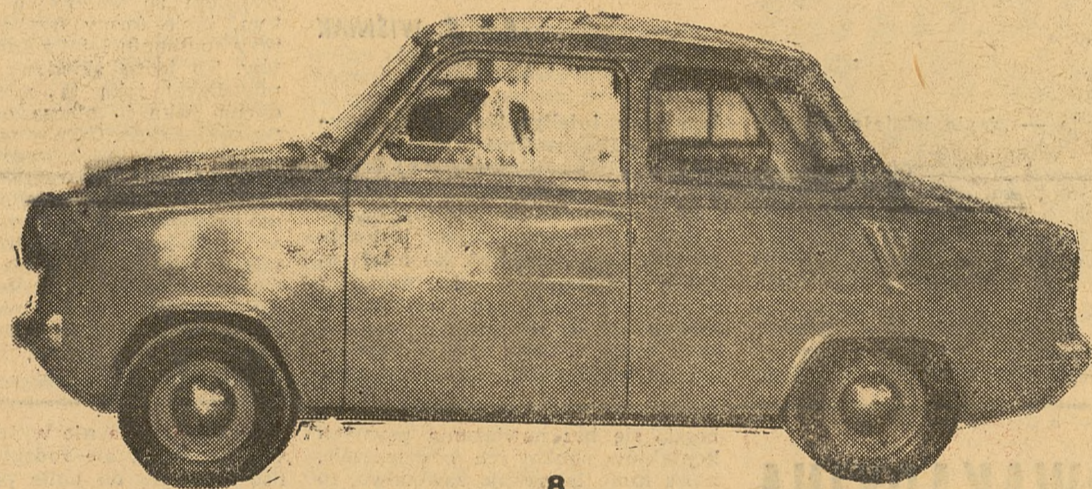
1



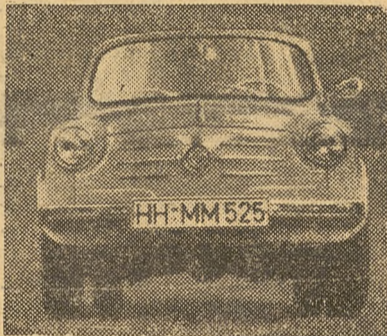
2



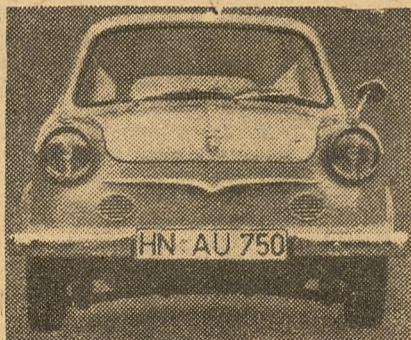
3



8



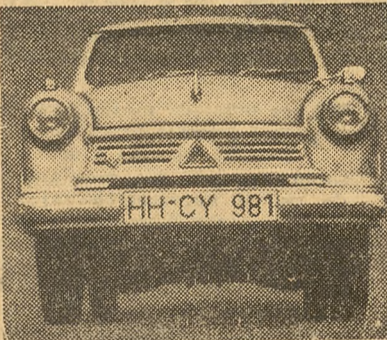
4



6



7



5

SAMOCHOODY MAŁOLITRAŻOWE 1958

1. GOGGOMOBIL SPORTOWY, cena 945 dolarów.

2. Wóz typu „JANUS”, cena 835 dolarów,

3. FIAT 500, kabriolet — limuzyna, zużycie benzyny 5 l na 100 km, maksymalna szybkość 85 km/godz., cena 870 dolarów,

4. FIAT 600, 19 KM. maksymalna szybkość 105 km/godz., zużycie benzyny 5,3 l przy szybkości 60 km/godz., cena 1080 dolarów,

5. Lloyd „ALEXANDER”, cena 965 dolarów,

6. NSU „PRINZ”, maksymalna szybkość 105 km/godz., zużycie paliwa 4—5 l/100 km, cena 935 dolarów,

7. GOGGOMOBIL LIMUZyna, cena 770 dolarów,

8. „MIKRUS” (Polska), — 2 takty, 2 cylindry, silnik 300 ccm, 4 biegi, cena ?

OSIĄGNIĘCIA których nie mamy POTRZEBY SIĘ WSTYDZIĆ

W Szczecinie odbył się w dniach od 12 do 15 września br. IV Ogólnopolski Zjazd Polskiego Towarzystwa Anatomicznego. Trzeba przyznać, że Szczecin miasto polskie, w którym nie udało się Niemcom zatrzeć śladów naszej kultury w tym stopniu, jak w niektórych innych miastach Ziemi Odzyskanych — choćby dlatego, że przez długie lata musieli go oddać pod władanie Szwedów, — stanowił piękną i pełną inspirujących refleksji oprawę dla kilkuset fachowców (anatomów, hi-

stologów, antropologów, embriologów i innych) ze wszystkich ośrodków naukowych kraju. W Zjeździe brało udział ponadto dwóch profesorów anatomii z Czechosłowacji (prof. T. Hromada i prof. K. Zlabek). Zjazd ujął nas świetną organizacją. Gospodarz Zjazdu prof. J. Słotwiński, parę miesięcy wpięrow „wyskoczył” na podobną imprezę do Leydy w Holandii i, jak nam się zwierzył, co ileco i obcych wzorów przeszczepił na rodzime podwórko. Nie chcemy przez dobrą organizację zrozumieć

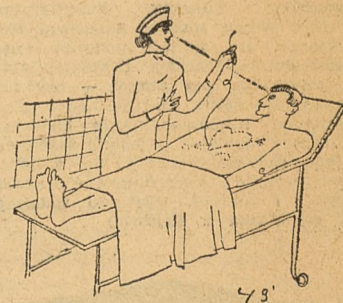
Doc. dr
JULIAN
BLICHARSKI

Lek. med.
ZDZISŁAW
NOWICKI

tylko dobrych leży, wiktów, środków poruszania się i imprez, lecz przede wszystkim świetny bieg bardzo licznych referatów (95 prac) i doskonale pomoce optyczne takie, jak aparaty kinematograficzne, epidiaskopy, liczne mikroskopy do demonstracji preparatów.

Czy zasługują na zajmowanie szpałt „Zdarzeń” refleksje pozjazdowe i to specjalności teoretycznej?

(Dokończenie na str. 4-tej).



O MEDYCYNIE
CZYTAJ NA STR. 4

Rys. J. BRUCHNAŁSKI

ZDERZENIA



PRZYROST

„Podczas czytania tego reportażu, tzn. w ciągu 10 minut liczba mieszkańców Chin wzrosła o około 250 osób”. (SUNDAY EXPRESS, z reportażu o Chinach.)

CHARLIE CHAPLIN

„Nie mogę powiedzieć Ameryce niczego, co by mogła ją zainteresować, co by mogła zrozumieć”. (Chaplin, „SWIAT I POLSKA”).

REFLEKSJA

„Co może zdziałać socjalizm, który nie ma odwagi używać swego marksistowskiego imienia i którego przywódca sprzeniewierza się socjalizacji?” („MADRIT”, z komentarza o zwycięstwie wyborczym Adenauera.)

OGŁOSZENIE

„Chcę porozumieć się z ludźmi, którzy nie cierpią Amerykanów i usłyszeć dlaczego. Zgłoszenia kierować: (Londyński „THE TIMES”, ogłoszenie).

Z POLSKICH EKRAŃÓW

„Kochankowie spoczywają w pozycji horyzontalnej. Noc. Ona (z patosem): Co ja będę robiła bez ciebie cały dzień? On (namietnie): Ukochana... Możesz robić na drutach... „SWIAT”, z filmu „Kochanek lady Chatterley”, wersja polska.)

SENTENCJA

„Pesymista żałuje, że rozum dziewczyny jest równie krótki jak jej spódniczka. Optymista natomiast jest rad, że spódniczka jest równie krótka co jej rozum”. (Maurice Chevalier.)

„INNE ŚRODKI”

„Współpracuję z USA w poszukiwaniu środków pokojowego zjednoczenia Korei, ale Ameryka zrozumie w końcu, że należy użyć innych środków” (AFP, Li-Syn-Man).

OPTYMISTA

„W polityce wewnętrznej chcemy osiągnąć wyrugowanie pojęcia podziału na Klasy. Nie chcę więcej żadnych partii klasowych. (DPA, Adenauer.)

OPÓR?

„Dzisiaj wiadomo i nawet Niemcy w literaturze swojej przyznali, że wrześnie opór Polski był oporem najtrwalszym ze wszystkich, z jakimi Niemcy w tym czasie spotkali się, aż do czasu walki pod Stalingradem”. (RADIO PARYŻ)

Z PUBLICYSTYKI o ZWIĄZKU RADZIECKIM w „DOKOŁA ŚWIATA”

NASTROJE

„Noc już szarzej. Zina i Natasa usnęły wtulone w suto wyszywane poduszki. Spadają za oknem migotliwe gwiazdy, jak zwykle w połowie sierpnia. Sasa wsparł się łokciami i mętnym głosem peroruje:

Co mi źle? No powiedz sam, źle? Samochód mam, mieszkanie mam, trzy i pół tysiąca zarabiam. Ile ty zarabiasz? Trzy? No widzisz, bo wy dopiero budujecie socjalizm. Konia też mamy. Od francuskiego niegorszy. Natasa charoszaja dziewczyska. I nagle milknie. Siedzi chwilę w skupieniu, podpierając brodę.

— Słuchajno — mówi wreszcie — chciałbym jeszcze kiedyś do Polski przyjechać”. („DOKOŁA ŚWIATA”, zakończenie reportażu z Moskwy.)

ŻUKÓW

„Chodzi o zamieszczone zdjęcie marszałka Żukowa. Pragnąłbym zwrócić Waszą uwagę, Szanowni Redaktorzy, na sposób podania tego materiału. Fotografia przedstawiająca marszałka bez głowy — czy nie wydaje się Wam, że tu zasłó elementarne nieposzanowanie człowieka, który wzbudza podziw i szacunek całego świata? Niestety Wy widocznie wolicie reprodukcję nóżki „girls” i „miss”. (List do redakcji od czytelnika z Kijowa.)



ZDERZENIA

S T. L E M

Dobrze ponad rok temu, kiedy prasa z „Po prostu” na czele odkrywała w artykułach i reportażach naszą biedę, skrytą do tego czasu baśniowymi malowaniami o rosnącym nieustannie dobrobycie, jakiś krytyk, zaszokowany hiobowymi rewelacjami, z niesmakiem wspominał moją twórczość fantastyczną — uznawszy widać opisywane przeze mnie komfortowe warunki bytowania na raketach roku trzydziestego za jeszcze jeden rodzaj lakierstwa w literaturze. Była to, sądzą, reakcja dość typowa dla obywatela kraju, w którym nie tylko powieść fantastyczna, ale zwykły tygodnik przynoszący fotografie nowych samochodów czy pralek nabiera charakteru baśniowego. Pomyślałem o tym, zastanawiając się nad niesłychaną zupełnie pocztynością, jaką cieszą się w Stanach Zjednoczonych wszelkie utwory gatunku „Science Fiction”; w samej rzeczy ludność kraju opływającego w dostatek, w którym nic nie wydaje się niemożliwe (dla posiadającego pieniądze), traktuje zapewne niejedną opowieść o wyprawach na inne planety znacznie bardziej serio, niż my; dodatkowego dowodu na to dostarczyła mi książka, którą niedawno dostałem; jest to, przeznaczona dla młodzieży, „Kompletna Księga Podróży Kosmicznych”, czyli — w intencjach wydawcy — rodzaj encyklopedii wiedzy astronautycznej. Zawiera ona, poczynając od pierwszej części, dokładne przedstawienie wymagań, stawianych pilotom raket międzyplanetarnych (to nic, że tych raket jeszcze nie ma — to, iż niedługo będą, uznają autorzy za pewnik, pragną zatem przygotować do mającego powstać zawodu dzisiejszych szesnastoletków, którzy, osiągnąwszy wiek dojrzały, zostaną sternikami raket). Mamy więc „Basic Training” — przygotowanie pilota podstawowe, wiadomości o statku (rakiecie), o podstawach nawigacji gwiazdowej, itp.

W drugiej części znajduje się „Podręcznik Astronauty”, zawierający „Informacje nawigacyjne” oraz „Szanse przeżycia w razie wypadku” na poszczególnych planetach układu słonecznego. Rzecz oczywista, myślałem, jest to, mimo poważnej i rzeczowej formy wykładu, w gruncie rzeczy zabawa w kosmiczny rejs z szesnastoletnimi kandydatami na pilotów raketowych. Chodzi po prostu o odświeżoną i uatrakcyjnioną formę wykładu astronomii — albowiem astronomiczna jest w gruncie rzeczy materia tego „Podręcznika Astronauty”.

Jakież jednak było moje zdumienie, kiedy włączyłem się w trzecią

część solidnego tomu; jest ona, ni mniej, ni więcej, tylko krótkim podręcznikiem zachowania się w wypadku... spotkania przybyszów z innej planety. Samą możliwość wyładowania (każdego dnia) na Ziemi ekspedycji z jakiegoś innego niż słoneczny układu gwiazdowego uważają autorzy za coś oczywistego, wypranego niemal z wszelkiej fantastyki. „Inne planety istnieją” — tak biegnie mniej więcej tok ich roz-

czy chronić się? Czy też, przeciwnie, iść naprzeciw?”

„Podręcznik” szczegółowo odpowiada na te pytania. Należy, rozumie się, spokojnie podejść, gdyż ucieczka mogłaby obcy przybyszom nasunąć myśl, że mają do czynienia z okazem „nieinteligentnej fauny planetarnej”, następnie trzeba w określony przez autorów sumiennie sposób dać Istotom z Gwiazd do zrozumienia, że jest się przedstawicie-

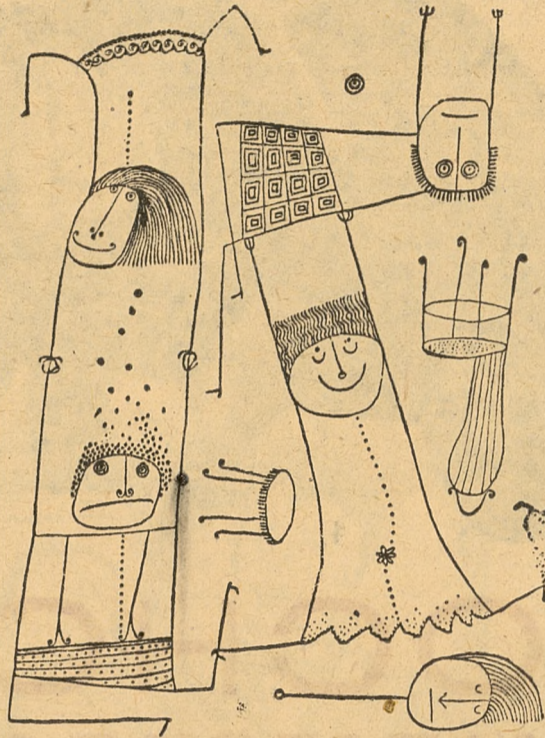
czne) odkrycia biologii czy fizyki nuda, przekonująca o tym, iż rzecz, w zasadzie, pisana była serio.

Wyobrażam sobie, jakby się ów, wspomniany przeze mnie na wstępie tego felietonu krytyk zdenerwował, dostawszy w ręce taki „pasztecik”. Rzeczywiście — nic innego nam nie brakuje, niczego lepszego nie mamy do roboty, jak tylko uświadomić szerokie rzesze młodzieży i PT. Opinii Publicznej, jak winna się zachować przy pierwszym spotkaniu Przybyszów z Gwiazd!!!

Właśnie to, że ów „podręcznik” napisany jest tak serio, z odwołaniem się do najnowszych odkryć i do rzetelnej wiedzy medycznej, biologicznej, fizycznej, sprawia, iż, zamykając tę księgę odczuwa się jakiś taki rodzaj wzruszenia — jak po zetknięciu się z kim może i mądrym, ale niesłychanie naiwnym! Mądrym — gdyż posiada olbrzymią wiedzę, umie ją świetnie zastosować, rozumuje szybko i logicznie wyciąga wnioski, imponując jednocześnie rzetelną erudycją. Naiwnym — bo, jednak, to spotkanie „Istot z gwiazd”, które może wydarzyć się każdego dnia, te instrukcje dokładne, typu cytuję: „Świe-dz, czy Statek ląduje z wielką szybkością, hamując gwałtownie” Jeśli tak, to jest on wyposażony w powłokę ciepło-odporną i aż odporną na tarcie. Jego załoga jest zapewne niewrażliwa na silną decelerację. Jeśli natomiast statek opada pod niewielkim kątem i z szybkością względnie niewielką, którą wytraca powoli, to widocznie materiał z którego zbudowana jest jego powłoka przypomina nasze materiały, nie posiada specjalnych urządzeń do deceleracji, a załoga jego jest na zmiany przyspieszenia wrażliwa. Należy się przyrzec powłokę możliwie dokładną. Czy przypomina jakiś znany metal...?” Itd.

Może się ktoś upierać przy tym, że to wszystko jest JEDNAK zabawa — w naukowe podejście do fantastycznego zgola zagadnienia. Zgoda — niech i tak będzie. Ale miliony szesnastoletnich Amerykanów nie będą traktowały tej Księgi Gwiazdowej i jej pouczeń jak zabawy. Uczni ludzie piszą tu uczonym językiem ze śmiertelną powagą o tym, jakie formy trzeba zachować przy spotkaniu Istot z Innych Światów. To jedna składowa atmosfery umysłowej jaką ta młodzież odwdycha, jaka ją otacza od lat najwcześniejszych. Czyżby w tym przedziwnym kraju, którego bogactwo zaślania nam fak jesto wszystkie inne jego, nieraz daleko istotniejsze problemy, nauka przerażała się w atmosferze materializmu, optymizmu i dostatku w nową mitologię? Czyżby to w taki sposób, na takiej glebie, wyrosnąć miały pierwsze mity, to znaczy: ze śmiertelną powagą traktowane baśnie, Nowej Ery Atomowej?

FELIETON KOSMICZNY



Rys. K. WIŚNIAK

— „życie istnieje na nich od prawków, muszą istnieć planety bardziej w rozwoju zaawansowane od Ziemi, a zatem i takie, których mieszkańcy wybornie umieją już podróżować po całym Kosmosie. Należy się więc liczyć z ich przybyciem. Co należy czynić, spotkawszy ich? Ujrzawszy opuszczający się z niebios „latający talerz”, bądź inną tego rodzaju machinę? Czy paść plackiem? Czy uciekać.

lem rasy inteligentnej, i tu przychodzi kilkustronicowy opis wzorowego zachowania się po nawiązaniu pierwszego kontaktu. Oczywiście, można powiedzieć, że i ten cały rozdział książki jest tylko rodzajem „zabawy”. Ze miał jedynie podeksytować i rozbudzić wyobraźnię młodego czytelnika. Jest jednak w jego suchym, rzeczowym tonie, w jego ciągłym powoływaniu się na najnowsze (autenty-

ANKIETA POWAKACYJNA

Bez przesady można powiedzieć, że główny sezon urlopowy został zakończony. Jeszcze gdzieś tkwią w „terenach” niedobitki wczoro- i urlopowiczy, narzekające na podłą wrześnie pogodę, ale gros amatorów świeżego powietrza powróciło do swych normalnych zajęć. Czy wszyscy skorzystali z dobrodziejstwa odpoczynku na świeżym powietrzu? Czy wszystkim, którzy opuścili miasto na krótszy lub dłuższy czas, powiodło się pomyślnie? Jakiekolwiek wrażenia wzbogaciły psychikę tego oto człowieka, który otarł się o nas w kolejce po masło, tego oto kierowcy, który zawiózł nas wczoraj pod Wawel, jak spędził czas profesor wyższej uczelni, którego spotykamy na plan-tach, w jaki sposób zorganizował sobie urlop ten oto człowiek, który wsiadł przede mną do tramwaju lub który popija czarną kawę w maleńkiej, niedawno otwartej kawiarence?...

- 1) Gdzie spędziłeś urlop?
- 2) W jaki sposób zorganizowałeś go sobie?
- 3) Czy twój tegoroczny urlop był dla ciebie wyłącznie okresem odpoczynku czy także pracy?

oto trzy pytania, jakie „Zdarczenia” zadały mieszkańcom miasta, spotkanym przygodnie w ciągu dwóch dni na ulicach Krakowa.

A oto ich odpowiedzi:

Dr JAN BAUMGART
dyrektor Biblioteki Jagiell.

Mój sierpniowy urlop spędziłem wraz z rodziną w Dobrej koło Limanowej, nb. w towarzystwie prof. Mieczysława Klimaszewskiego, który obecnie wyjechał do Madrytu na międzynarodowy kongres geograficzny. Był to właściwie mój pierwszy — od pięciu lat — prawdziwie wypoczynkowy urlop... Chociaż nie całkiem. Pracowałem jednak nad korektą bibliografii historii polskiej za rok 1954... Urządzałem częste wycieczki — jedno i dwudniowe — w okoliczne góry. Wraz z dziećmi zwie-

dziłem Snieżnicę, Cwilin, Łopień, Mogielicę, dotarłem do różnych wiosek zakopanych w górach Beskidu Wyspowego. Wielką atrakcją dla dzieci stanowiły noclegi w namiocie.

Dr JANINA BIENIARZÓWNA
historyk

Korzystając z urlopu, pojechałam na Węgry, aby odwiedzić ten kraj na dwudziestu latach... Była to 14-dniowa wycieczka, zorganizowana przez Komisję Turystyki Pieszej PTTK. Mieszkałam w miejscowości Siofok nad Balatonem i oczywiście urządzaliśmy stamtąd częste wypadki przy pomocy własnych nóg, autobusów lub statków. Dwa dni spędziłam w Budapeszcie. Stanowczo za mało. Była to impreza zupełnie wypoczynkowa, turystyczna. Ale nie o-

beszło się bez nawiązania pewnych kontaktów naukowych w dziedzinie, która mnie interesuje zawodowo, to znaczy historii. Bardzo miłe wrażenie wywarło na mnie spotkanie pewnego Węgry, niesłychanie interesującego się Krakowem. Człowiek ten nie mógł pojąć jak można — będąc mieszkańcem Krakowa — jeździć na Węgry w poszukiwaniu zabytków... No, to była pierwsza połowa urlopu. Drugą musiałam poświęcić całkowicie pracy naukowej. Zakopałam się w Podwilku na Orawie i pracowałam niejednokrotnie po 8 godzin dziennie nad moją nową książką. Będzie to coś w rodzaju historycznej Zgaduj-Zgaduli. Cel: popularyzacja historii. Wydawca: „Wiedza Powszechna”.

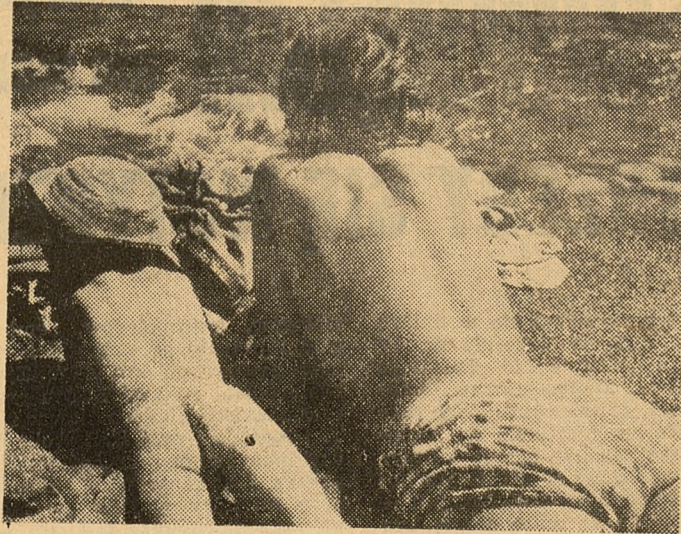
HENRYK BUŁAT
pracownik Zakładu
Oczyszczania Miasta

Panie, na urlop jadą ci, co mają pieniądze. My nie. Trzeba zarabiać na życie. Owszem, urlopy mam, ale

na wieś nigdzie nie wyjeżdżam. Ze wsi pochodzę, ale rodzina nie bardzo chce się do mnie przyznawać. Żona pracuje w stołówce tramwajowej, w domu jest huk roboty, gdzie ta myśleć o urlopie. A zresztą cały dzień pracuję w powiat-trzu. Mam swój rejon, w którym muszę zrobić porządek. Zamiatać rynek jak pan widzi. Rynek musi być czysty bo tu dużo gości chodzi. Od szóstej rano do drugiej po południu jestem na powietrzu... A w czasie urlopu siedzę w Krakowie. Zarabiam wtedy dodatkowo czyni się da, to sprządaż flaszek, to ma-kulatury lub złomu. Trzeba żyć.

MGR JERZY DOENING
urzędnik

Pojechałem do Sopotu. Ale tylko dlatego, gdyż mam tam krewnych... Niestety musiałem siedzieć w miejscu, jeśli nie brać pod uwagę kilku małych wypadków do Gdyni, Gdańska i Oliwy. Nie miałem nawet czasu na (Dokończenie na str. 3)



Słońce zniża się; czas zejść z plaży.

REPORTAŻ

pod którym
autor

nie mógł się podpisać

Karlbürg, małe miasteczko w Dolnej Frankonii było parę tygodni temu widownią złotu byłych SS-manów. Ponad 8 tysięcy b. członków dywizji SS „Wiking“, „Das Reich“, „Germania“, „Totenkopf“, „Hitler Jugend“ i innych b. jednostek SS z Francji, Norwegii i Holandii, zebrało się na tym zlocie. Zorganizowani oni są w organizacji HIAG (Hilfsgemeinschaft auf Gegenseitigkeit).

Ani jeden SS-owiec nie przybył bez własnego samochodu. W promieniu 30 kilometrów od miasteczka zajęte były wszystkie hotele, pensjonaty i prywatne kwatery. Podczas złotu sprofanowano cmentarz żydowski pod Karlbürgiem. Tych, którzy protestowali przeciwko hitlerowskiej hecy ciężko pobito. Policja nie interweniowała. Była zajęta pilnowaniem parkingu samochodowego. Ani słowem też nie zaprotestowali przedstawiciele bońskiego parlamentu, którzy przysłuchiwali się obradom.

Podczas złotu wygłosili przemówienia generałowie SS, Heusser, Dittlich i Kurt Meyer. Szczególny entuzjazm SS-owców wywołało przemówienie Meyera, nazywanego popularnie „Panzer Meyer“. Był on skazany przez aliantów na śmierć, a potem ułaskawiony. Generałowie SS domagali się rehabilitacji SS, twierdząc, że to nie SS popełniła zbrodnie, ale alianci dopuścili się zbrodni wobec SS.

Wszystko to działo się za ledwie w 12 lat po wojnie, po Oświęcimiu, Lidicach, Oradour. Działo się na 7 tygodni przed wyborami do Bundestagu.

Poniżej zamieszczamy reportaż z Karlbürga. Otrzymałmy go za pośrednictwem redakcji „Die Tat“, pisma bojowników przeciw faszyzmowi i militarystyce we Frankfurcie nad Menem. Swym nazwiskiem autor nie mógł tego reportażu podpisać. Groziłby mu bowiem... pogrom. Zresztą posłuchajcie, jak wyglądała atmosfera tego przedziwnego złotu.

GDZIE JESTEM?

Siedzę przy stole prasowym, oddalonym od trybuny mniej więcej o 15 metrów. Długa i wysoka hala wypełniona ryk, wrzask, gwizdanie i nawoływanie. Nasz stół znajduje się w środkowym przejściu. Tuż przed nim faluje gęsta ciżba. Bije od niej zapach alkoholu.

Parę kroków ode mnie ustawia się orkiestra. Czarne koszule, czarne spodnie, żółte naramienniki i epolety, czarne czapki z żółtymi wypustkami. Kapelmistrz daje znak. Łoskot werbli tłumi wrzawę. Rozpo-

pracowałem w konsulacie holenderskim, jeździło się wtedy wozem do Krynicy, do Zakopanego. Można było w wolnych godzinach wyskoczyć na spacer. Tak, urlopu nie można wykorzystać, bo miesiąc postaju taksówki to wielka strata dla jej właściciela. No i tegoroczne lato jak zwykle przejeżdżałem po ulicach Krakowa...

Dr HANNA PIĘKOWSKA wojewódzki konserwator zabytków

— Urlop? Siedziałam w Wiśniczu. Tak jest, w Wiśniczu. W zamku, w pomieszczeniu służącym dawniej celom zabawowym, a obecnie zamienionym na pokoje gościnne i robocze.

Dlaczego w Wiśniczu? Ano dlatego, gdyż podobno klimat Wiśnicza jest identyczny z klimatem Rabki. A ja byłam ze swym malutkim Piotrusiem... Czas upływał mi na gotowaniu i... praniu pieluszek. Kilkakrotnie musiałam przerywać urlop wzywana na przeróżne „komisje terenowe“ do Starego Sącza. Krakowa, a nawet do Warszawy. Przy tym wszystkim pracowałam nad tekstem składanki (folderu) poświęconej Krakowowi oraz nad przewodnikiem po Krakowie, przeznaczonym dla użyciu cudzoziemców...

Prof. R. ŚMIAŁOWSKI Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej

Pierwszą połowę mego tegorocznego urlopu spędziłem nad morzem. Bynajmniej jednak nie siedziałem w miejscu, lecz urządziłem sobie raid kajakowy z Łęborka przez Łębę do Władysławowa u nasady półwyspu helskiego. Nocowałem oczywiście w namiocie. Tego rodzaju włóczęgowanie dostarcza mi zawsze mnóstwa nowych wrażeń. Poznaje nowe okolice, muszę pokonywać nieprzewidziane trudności... Twier-

czyzna się jazgotliwa muzyka. Przez ułamek sekundy sala znieruchomiła w odurzeniu, potem wybuchła potężny ryk, ryk 8 tysięcy gardzieli, ogłuszający, ostry jak sztylet.

Gdzie jestem? Myśli moje uciekają daleko od Karlbürga, uciekają w przeszłość. Tak, to było już kiedyś... Znowu jazgot muzyki, znowu wrzask. Zamienia się w przeraźliwe wycie: Panzer-Meyer, Panzer-Meyer...

ELITA

Widzę go. Jest otoczony kłębiącym się pierścieniem wrzeszczącej ciżby. Obok niego generał SS Heusser z se-

traskiem. Tumult rośnie. Wrzask przechodzi w rytmiczne skandowanie: Panzer-Meyer na stół! Panzer-Meyer na stół! Papa Heusser na stół! na stół!...

Chcą widzieć swoich wodzów. Spoglądam ku nim. Promienieją, wymieniają uśmiechy, ukłony. Wznoszą ręce do pozdrowienia. A wokół galeria twarzy. Szerzą zęby, wpatrują się jak w hipnozie. Jedne twarze niktą zmyte falą tłoku, pojawiają się znowu inne. Ale zawsze widzę w nich wszystkich jedną i tę samą twarz. W oczach błyszczy pycha i buta: byliśmy elitą, pozostaniemy elitą. My SS!



Zbrodniarz wojenny generał-major Kurt Meyer przemawia podczas złotu.

pią twarzą. Przeciskają się przez rozfalowany tłum i siadają o parę metrów ode mnie.

Ogarnia mnie prawdziwy tajfun. Ryczący motłoch staje na ławkach, wdziera się na stoły. Nasz stół kolebie się pod naporem. Nagle na stole, obok mego notesu, zjawiają się ciężkie buciska. Mną notatki, depczą po arkuszach papieru. W górze raz po raz migotają błyski fotograficznych fleszów. Jakaś lawa pęka z

VERBOTEN!

Mój sąsiad, dziennikarz uruchamia magnetofon. Gdybym tak mógł każdemu czytelnikowi załączyć do sprawozdania taką taśmę dźwiękową. Nagle czyjaś dłoń brutalnie zakrywa mikrofon: nie wolno nagrywać! — ktoś krzyczy. Szamotanina. Fotoreporterzy natychmiast celują obiektywami.

Co się dzieje? Jakiś SS-man wy-



Każdy SS-man własnym wozem! — Zdjęcie parkingu podczas złotu.



Jeden z uczestników złotu SS obersturmführer, były dowódca jednostki pancerniej SS w Ardenach. Wymordował on pod Malmédy grupę jeńców amerykańskich. Kiedy fotoreporterom udało się dokonać tego zdjęcia, stał się eskortowany przez swoją przyboczną straż, aby udaremnić fotografowanie.

rywa kabel mikrofonowy z magnetofonu.

A więc opinia publiczna nie może wiedzieć, nie może słyszeć, co mówi Panzer-Meyer, który właśnie jak tryumfator stoi na mównicy otoczonej przeraźliwym wrzaskiem wiwatujących jego byłych żołdaków?

Nagle obok mnie zjawia się krepki blondyn z falującymi włosami. — Kto panu dał pozwolenie fotografować mnie? — ryczy — ja go nie dalem.

Fotoreporter odpowiada — to jest publiczne zebranie.

— Ale ja zabraniam wam fotografować!

— Jakim prawem. Proszę pokazać dowód służbowy — broni się fotoreporter.

Człowiek z odznaką HIAG-u, w kłapie grzebnie w portfelu. Potem potrząsa czerwoną legitymacją. Środkowy i wskazujący palec u jego ręki są obcięte. Teraz i fotoreporter legitymuje się. Jest on sprawozdaw-

(Dokończenie na str. 8)

Na wstępie muszę powiedzieć, że po prostu chciało mi się rzygać. Podobnie, jak innym moim kolegom z prasy. To nie jest estetyczne słowo, ale kiedy człowieka przepelnia uczucie, że stoi zanurzony po szyję w cuchnącej kałuży, nie ma lepszego określenia. A przecież dookoła byli tylko ludzie, 8.000 ludzi — SS. Nie łatwo jest przekazać czytelnikom to, co działo się podczas spotkania HIAG w Karlbürgu. Notatki mego stenogramu wydają się tak ubogie. A jednak wprowadzają one w to, co tam się działo. Dlatego chce, aby przemówiły pełnym głosem.

czytanie, choć zabrałem z Krakowa kilka ciekawych książek, m. in. Camusa i Malaparte — bo... musiałem spełniać obowiązki ojcowiskie wobec syna. To był szatański pomysł obarczyć mnie dzieckiem... Pan rozumie, że działania wychowawcze... Z powyższego wynika jasno, że urlop był dla mnie w pewnym sensie okresem pracy.

JAN KURKIEWICZ art. grafik

Czas przeznaczony na urlop podzieliłem sobie między Jeziora Mazurskie oraz okolice Muszyny (może to wpływ poezji Harasymowicza?). Na Mazurach byłem uczestnikiem dwutygodniowych wczasów kajakowych na trasie: Jabłoń-Sorkwity. Wrażenia nadzwyczajne! Mazury — to wspaniała kraina! Byłem tu po raz pierwszy. Niestety trochę za mało zagospodarowana pod względem turystycznym. A Muszyna? Też piękna. Łaziłem po przeróżnych wioskach i osiedlach, włóczyłem się gdzie nogi poniosły. No i pracowałem: robiłem moc szkiców, rysunków... Zafundowałem sobie również spływ Popradem z Muszyny do Piwnicznej. Uważam włóczęgowanie za najlepszą formę wypoczynku. Mam w sobie dużo z trampa-obejźwiata. Nie lubię siedzieć na jednym miejscu...

JAN PAJDAK kierowca taksówki

Niech mi pan wierzy, że od jedynastu lat jestem bez urlopu. Moje urlopy — to te wolne dni co drugi dzień. Pracuję zawsze od 6 rano do drugiej w nocy. A potem mam wolny dzień. Sam nie mam na to, żeby wyjeżdżać na wieś, ale dzieci wysyłam na świeże powietrze do krewnych. Chętnie pojechałbym kiedyś nad morze. Bardzo mnie tam ciągnie, bo morza nie widziałem. Góry znam trochę. Przed wojną

dę, że urlop powinien się biegać różnie od normalnego sposobu życia w ciągu roku... O ile pierwsza część mego urlopu miała charakter w pełni wypoczynkowy, o tyle druga była poświęcona pracy naukowej. Prowadziłem badania konstrukcji drewnianych architektury zabytkowej w Polsce — i rzecz jasna — odbyłem w związku z tym wiele wycieczek, m. in. do Łaszewa (koło Wielunia) oraz Haczowa (w województwie rzeszowskim).

ANTONI WICHURA speaker Polskiego Radia

Urlop spędziłem na ciągłych podróżach między Andrychowem a Gdowem... Tak się złożyło, że musiałem umieścić moich synków u krewnych w tych dwóch miejscowościach. Toteż na dobrą sprawę wzdychałem do końca urlopu i do nadchodzących po nim jedenastu miesięcy pracy, która w takim wypadku jest raczej wypoczynkiem. Jeśli mam być szczerzy — to właściwie od 5 lat nie miałem prawdziwego urlopu. Trzeba zarabiać — toteż i w czasie urlopu angażuje się człowiek do różnych zajęć, np. do teatru, do imprez estradowych itp.

KRYŚIA ŻABIŃSKA lat 7, uczennica I klasy

Ja byłem z mamusią w Białce Tatrzańskiej. Tam jest bardzo ładnie, bo jest ładna rzeka i kąpałam się w niej. I chodziliśmy też do lasu. Zbierałam grzyby, nawet prawdziwki i mamusia ma teraz grzybki na zupę. A tatuś był tylko miesiąc, bo pracuje w biurze. Jest też chłopiec co ma 12 lat, bawiłam się z nim. A gospodarz ma konie, krowy i owce. Barany też. Ale są też takie owce, co się pasą w górach i jedzą trawę. Na drugi rok pewnie też pojedę do Białki, bo tam jest ładnie i są dwa malutkie kotki.



Do morza coraz bliżej.

Na zakończenie pozwólcie drodzy czytelnicy, że wbrew zwyczajowi dokonam wywiadu z samym sobą... Sądzę, że usprawiedliwi mnie dość oryginalna forma spędzenia urlopu, oryginalna jeżeli zważyć na towarzystwo żony oraz dwojga dzieci: 12 letniej Ewy i 10 letniego Tomka. Zresztą nie zapominajmy, że reklama jest dzwignią handlu.

Kryptonim akcji: Raj na kółkach. Czas: lipiec 1957 (mnóstwo słońca). Trasa wyprawy: Od Szczecina po Hel. Jednym słowem raid wzdłuż zachodniego wybrzeża (naturalnie jak najbliższej morza i plaży). Środki komunikacji: cztery rowery zaopatrzone w pakowne plecaki na mocnych bagażnikach. Ilość przeby-

tych na rowerze kilometrów: 380. Ilość kilometrów przejechanych po cięgiem na tej trasie: 100. Noclegi: w przygodnych stodółkach na sianie lub słomie. Prawdziwy, kolorowy i plastyczny film krajoznawczy. Zwiedzanie latarni morskich, statków, stoczni, portów, wędzarni, muzeów i zabytków. Mnóstwo czasu na chłapanie się w morzu. Rzeczywiście „raj na kółkach“. Rezultat? Prawdziwa „morska choroba“ u synka. Szaleje na punkcie modelarstwa okrętowego. Cóż robić. Tu l'as voulu, Georges Dandin.

Rozmowy przeprowadził Stanisław Pagaczewski

Zdjęcia autora



FILM

NIEDOBRY FILM I „MELODA POLSKA”

Tacy już jesteśmy, że jak komuś przylepiamy łatkę pozytywną, lub negatywną, latki tej nie zdrzedzie nie zdoła. Utało się u nas że jeden większy sukces — sukces którego przesłanki nie zawsze są dobrze znane — buduje sławę. I sławy nie już nie potrafi zgasić — nawet największe potknięcia i upadki. Sprawę tę poruszał niedawno w swym felietonie Bohdan Drozdowski. A mnie się wydaje że zagadnienie „wiecznej łatki” ciąży nie tylko nad naszymi teatrami (Drozdowski pisał o teatrze Skuszanki) ale również nad sławami literackimi oraz nad... przemysłem i handlem. Chociaż w tych ostatnich dziedzinach zachodzą już pewne zmiany. Ugruntowane sławy, które nie zdały egzaminu, schodzą z piedestałów. Trzeba innym dać wypróbować siły. W sztuce niestety dzieje się inaczej. Tu trudniej zstąpić z cokołu z różnych względów. Twórczość rutynowanych sław trwają więc dalej, mnoży się i mnożą się błędy. Mam wrażenie że wiele z tego co wyżej powiedziałem można by zastosować do sprawy nowego filmu krajowej produkcji, który ukaże się na ekranach pod tytułem „Prawdziwy koniec wielkiej wojny”. Film jest niedobry. Nie powiedziałem zły, ani bardzo zły. Rozumiem przez to że suma cech ujemnych przeważa w nim poważnie nad dodatnimi. A oto argumenty. Na początek zmuszony jestem wymienić nazwisko Zawieyskiego. Ten znany pisarz z góry skazał film na zagładę. Jego dramaty stanowiący ośnowę obrazu — nie jest żadnym dramatem. Nic się od początku do końca w tej sztuce nie dzieje. Bohaterowie są bez przerwy jednakowi. Konflikt bowiem (trójkąt małżeński powstały w wyniku wojny — mąż po powrocie z obozu — inwalida, półwariat) pokazany jest w stadium wygasania. Wszystko się już stało gdzieś kiedyś — poza ekranem. Poza ekranem i poza filmem znajduje się obóz koncentracyjny i jego straszliwe przeżycia, które na zawsze okaleczyły inżyniera Zborskiego. Poza filmem zawiązał się romans między panią Zborską i pewnym niezbyt sympatycznym profesorem matematyki. Na ekranie pozostali już tylko ludzie zmuszeni do okazywania ostatecznego cierpienia. Nic więc więcej: typowy młodopolski obrazek.

Kończy się oczywiście śmiercią bohatera, jakże bardzo przypominającego bohatera szmirowatej trylogii Tetmajera (skądinąd kapitałnego poety) „Anioł śmierci”, „Panna Mary”, „Zatrącenie”. Tetmajerowski bohater rzucał się ze skały w siną przepaść z okrzykiem „huksa, huksa — erotoman”. Na filmie „Prawdziwy koniec wielkiej wojny” natomiast bohater wieszka się na strychu ubranym malowniczo (zasługa operatora i reżysera) w całą sieć sznurów do suszenia bielizny.

Oprócz wymienionych, zasadniczych — scenariusz budzi jeszcze inne wątpliwości. Taką jest sprawa choroby inżyniera Zborskiego. Ale wyjaśnienie jej to już rzecz psychiatrów.

Scenariusz wyznaczył fałszywą drogę reżyserowi Kawalerowiczowi, który musiał przecieżyć wypełnić czymś pełno-metrażową taśmę (otóż właśnie: czy naprawdę musiał, czy powinien był zabierać się do tej roboty?). Brak akcji brak konfliktów natury psychologicznej każe Kawalerowiczowi dorabiać psychologię. Tragedia dla aktorów: nie mając co przedstawiać muszą układać twarze w sztuczne grymasy. Zażwawione oczy w różnych zblizeniach mają zaświadczyć o rozpaczy bohatera. Czas filmu wypełniają w większości spacer całej trójki bohaterów po jednej alejce parkowej. Kamera śledzi każdy ruch tej trójki, każdy przedmiot w jej pobliżu. I tu zasadniczy błąd reżysera: chciał za wszelką cenę być behawiorystą, chciał wbrew możliwościom scenariusza, stworzyć nastroj i ugruntuować psychologię postaci przez wnikliwe, reporterskie ukazywanie realiów. Metoda ta mogłaby być dać wyniki gdyby nie stała się metodą dla metody. Tymczasem nagromadzone szczegółowe obserwacje nie służą ani konfliktowi ani bohaterom. Są antyfunkcjonalne. Wydułają tylko film, który ciągnie się coraz bardziej jak wyszana guma do żucia. Klasyczny przykład tej metody, to scena strip-teaseowa. Pani Zborska idzie do łazienki i poprzez matową szybę obserwujemy jej kształty. Tych kształtów nie widzi jednak jej chory mąż, co doskonale widać na ekranie. A dobrze by było żeby widział. Wtedy bardziej zrozumiałaby scena gwałtu następująca wkrótce po tym.

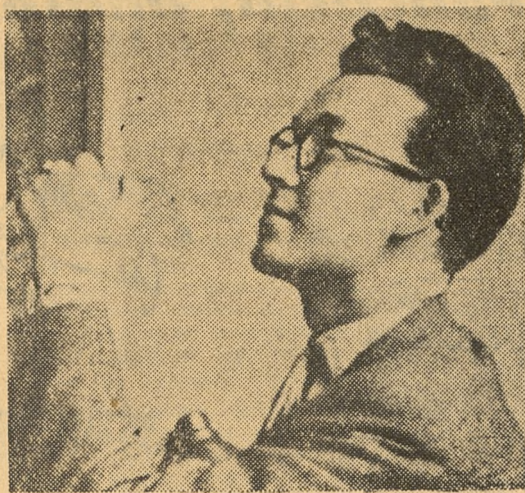
A więc w filmie są jak słyszycie strip-teasey, gwałty, ataki wariacji — młodopolskie cierpienia i wreszcie bardzo młodopolski finał: dwie kobiety

w czerni — pani Zborska i jej służąca (opiekunka chorego inżyniera Zborskiego) udają się na kolejny (który już w tym filmie), spacer przez park. Ten spacer — podjęty po samobójstwie inżyniera — prowadził hen, w dal siną. Pani Zborska milja, odwracając głowę, swego smutnego szatana — kusiciela: profesora matematyki. Profesor musi również ponieść karę za swe postępowanie — biedny przegrany, młodopolski szatan.

Aktorzy, jak się już wspomniało, czują się w tym filmie nienajlepiej. Trzeba jednak przyznać że robią co mogą i robią wiele. Najlepiej wypadł Głowacki w roli półszalonego inżyniera Zborskiego. Ale bo też jemu scenariusz dał największe pole do popisu. Najgorzej czuł się profesor matematyki. Jego partia była prawie żadna. Ale twarz musiał pokazywać często. Czarował więc satanizmem swego ciekawego oblicza. Smieszna ale wdzięczna rolę miała służąca państwa Zborskich. Kazano jej być kimś w rodzaju Hamleta w spódnicy, tudzież chóru starogreckiego ilustrującego wątpliwość. Monolog w filmie. Monolog w filmie współczesnym, dziejącym się współcześnie — czyż trzeba jeszcze coś do tego dodawać.

Czy są w tym filmie jakieś pozytywne? Przede wszystkim zdjecia. Niezapomniane jest ujęcie spod wielkich kasztanowych pni perspektywą aiel parkowej. Świetnie pokazana jest warszawska ulica i plac budowy. Na plus reżysera należy zapisać kapitalny pomysł zdjęć w czasie tańca. Najpierw widzimy więc twarz wirującego w walcu bohatera, oglądane gołem okiem zakochanej żony. To wirowanie powraca potem w filmie kilkakrotnie — jak leit-motiv tylko że wówczas obserwowane rozkreślonych obiektów jest już oszalały inżynier — nie jego żona. Chwył dobrze tkwiący w koncepcji scenariusza, bardzo filmowy ale czysto formalny — nie zdołał uratować całości. Podobnie jak nie ratują jej również piękne antywojenne idee autora scenariusza. W sumie gdybyście mnie w tej chwili zapytali iść na obraz czy nie iść — odpowiedziałbym: „Będziecie się nudzić i denerwować nieporadnością realizatorów tego obrazu. Ale... ponieważ w każdym z nas — przede wszystkim w tych starszych, żyje odrobina młodopolskich, romantycznych tradycji — więc jednak zobacicie.

J. PRZYŚCIECKI



OD DZIŚ FEL'ETON DROZDOWSKIEGO ZAWSZE NA TEJ STRONIE

Istnieje w naszych najnowszych czasach pewne znamienne zjawisko, którego odpowiednika nie potrafiłbym znaleźć w przeszłości: oto młodzi krytycy literaccy, pokolenie urodzone w roku i po 1930 — usiłują czynić wszystko, byle tylko odgrodzić się od pokolenia pisarzy i poetów im rówieśnych, debiutujących w roku ubiegłym i bieżącym. Jest to, jak wiadomo, pierwsze pokolenie, po którym literatura może się czegoś spodziewać. Pierwsze od czasu krzykliwego wstąpienia w szranki, czy „na pozycje” — pokolenia „pryszczatych”. Ale „pryszczatych” występowałi zwartym frontem: mieli swoją ideologię, mieli jasny program polityczny zasadzający się głównie na bezgranicznym i bezkrytycznym zaufaniu do instancji. Mieli także swoją bojową, terroryzującą starzych i przeciwników — krytykę. Teraz zaś inaczej: pokolenie literackie nie mające jeszcze 30 lat życia (z wyjątkiem Mirona Białoszewskiego i Zbigniewa Herberta) — nie ma swojej krytyki. Ma za to zdolnych ale wyniosłych rówieśników parających się krytyką, którzy sięgają swoimi horyzontami daleko poza granice Polski i nie dla nich, co nie dorównuje lub nie jest identyczne — powiedzmy — z Proustem, Kafką, Gombrowiczem, Camusem czy Becketttem — bo to nazwiska wyznaczające drogi miłości i westchnień młodej polskiej krytyki — nie więc co nie jest w tym rodzaju — nie liczy się i „opada”. Co najbardziej zdumiewające, że ci dwudziestoparoletni erudyci piszą o nas tak, jakby podchodzili pod pięćdziesiątkę! W żadnym dosłownie artykule Flaszera, Kijowskiego, Błońskiego, Sadowskiego czy nawet samego Kajtocha (nim się zajmę bliżej) — nie wyczytasz za skarby Sultana — że oni także są młodzi, że oni także żyją takimi problemami jak pokolenie tworzące oryginalnie. Oni się do tego nie przyznają. I to jest także niepomnie śmieszne. Piszą: „młodzi”, „młodzi literacki”, „dwudziestolenni”, „ich program”, „ich sztuka” i tak dalej. Nigdy „my”, „nasza sztuka”. Krytycy ci bowiem są ponad mierność swojego pokolenia, stawiają zarzuty, radzą, żeby helkotac to bowiem jest najsłabszy program działania, zarzucają nam brak perspektyw i ideologii — a sami są jej pozbawieni najbardziej. Ubiierają się w togi profesorów — a Bogiem a prawdą, pełni są sprzeczności, zmienni i wahlwi jak chorągiewki, w jednym tylko trwając nieporuszenie: w uwielbieniu dla sztuki Zachodu. Wszystko by podprowadzali pod tamten sznurek, a co wystaje albo nie dostaje — won.

Są to wszystko chłopcy bardzo zdolni, pełni erudycji i dobrej woli, wiedzą to i owo, czytują prasę francuską i niemiecką, niekiedy

KTÓRZY SĄ PONAD NAMI

biuletyny specjalne, a dużo literatury dobrej i złej. W sumie są akurat tacy jak wszyscy krytycy dawni i współcześni w Polsce i za granicą. Cechuje ich zaś jedna kiepsko odbijająca się na ich pracach wada: nie posiadają biografii i dlatego tak oburza ich tzw. „autobiografizm” młodego polskiego narybku pisarskiego. Brak biografii zaważył na ich stanowisku „ponad” swoim pokoleniem. Trudno się zresztą dziwić.

Jako dwudziestolenni młodzieńcy pokoleń studiów, nie mieli wyobraźni więc od razu wyróżnili się halasem wokół socrealizmu, zanim kto inny nabrał w płuca powietrza. Wbili się w dumę i w ten sposób zapomnieli po ile mają lat.

To jest bardzo smutne, żeśmy nie zdobyli sobie tych dzielnych i zdolnych młodych ludzi. Widać nie jesteśmy wariaci ich geniuszu! Ha, cóż, trudno. Jakoś będziemy się starać obyc bez ich pomocy. Ale niechże pozwolą, byśmy także mieli prawo patrzeć na ich działalność krytyczną.

Cenię sobie erudycję Błońskiego i jego znajomość francuszczyzny, cenię sobie nieposzlakowany styl Flaszera i jego odwagę propagowania helkotu. Mam wielki respekt dla impetu z jakim atakuje swoje ofiary Andrzej Kijowski. Kupiłem jego „Różowe i czarne”, czytałem tom opowiadań pt. „Diabeł, anioł i chłop”, ostatnio zauważyłem trzecią książkę tego młodego krytyka — „Pięć opowiadań”. Byłem swego czasu zachwycony esejem Błońskiego „Za pięć dwunastą”, czekam z niecierpliwością na książkę Ludwika Flaszera. Będzie to na pewno bardzo pożyteczna książka. Nie oczekuję po niej wiele, ponieważ wiem co Flaszera może nam zaproponować, ale lubię ten jego przekorny, dowcipny styl, tę jego cygańską, manifestowaną pogardę dla wszelkiego konformizmu. Nie mogę natomiast pojąć kto wymyślił Jacka Kajtocha. Recenzje jego pojawiać się zaczęły dość późno, mniej więcej razem z drugim rzutem poezji debiutantów ub. roku, głównie zaś w ostatnich miesiącach zdarzyło mi się czytać parę jego prac. Ostatnia o prozie Moniki Kotowskiej, * naszej i jego rówieśniczki — zaświadczyła nagle, że i on, Kajtoch, także jest ponad! I to jak ponad! Napisał: „Najmłodsze pokolenie literackie może już być przedmiotem dyskusji”. I to zdumiewające odkrycie podpira pewną erudycję, mówiąc o to, że „najczynniejsi dwudziestolenni wydali już swoje pierwsze tomiiki, inni wydają grupowe pisemka...”. „Pokolenie nabiera ciężaru gatunkowego, powagi, ma swoich klasyków i epigonów. Tworzy literaturę opartą na paru niezmiennych motywach,

* „Życie Literackie” nr. 296.

operuje jedynie kilkoma chwytami staje się więc monolitem — dowcipkuje — zamkniętą całością. Ma swoją wyraźnie zarysowaną twarz”. To ładnie, że zauważył „wyraźnie zarysowaną twarz” pokolenia, on, sylwetka nie dość wyraźna... Powiada, że „Hiasko deprawuje swoich (!) rówieśników: ulegają mu łatwo, zatracają się w nim, za miodu stają się w pewnym sensie epigonami”. Oto macie styl „dwudziestolennego” krytyka. „Mają”, „nie mają”, „zatracają się” itd. Odkrył Hiaskę i teraz jak polonista — wwaliliby wszystko do worka tego nazwiska. Hiasko uderzył w strunę swego pokolenia z wielką siłą, siłą wzmocnioną wielokrotnie najwcześniejszym debiutem książkowym. Kajtoch zrobił z Hiaski klasyka.

„Epatują erotyką, brutalnym autobiografizmem, nie widzą świata poza szczegółem obyczajowym. To grozi tandetą”. Potem, że od pisarstwa Hiaski nie tak daleko do Mniszkówny. Sandauer niedawno napisał to samo o A. Rudnickim. Jeżeli Hiasko jest A bliskie B i Rudnicki jest A bliskie B, to Hiasko i Rudnicki są tacy sami...

I że młode pokolenie robi „użytkowe uogólnienia” które „nie zastępują problematyki intelektualnej”. Ot i jest konflikt: „intelektualna problematyka”. Znam jeszcze paru krytyków, którzy dziury w swojej jednostajnej argumentacji zalepiają tym fascynującym słówkiem „intelektualny” — odmienianym we wszystkich przypadkach. Widać „stary” Kajtoch też do tej szkoły doszłusował. Szkoda, że nie mówi co rozumie pod „problematyką intelektualną”: brzdąkał w błachę i myśli że narody padną na kolana.

Cóż, my, nierozwinięci, poruszający trzy czy cztery oklepiane srawy — do intelektualnych niebiosów nie dorastamy. Ale radziłyśmy słyszeć co to takiego. Krytycy, którym nie ośmielamy się przypomnieć, że w naszym są wieku lub młodszy — mogliby nas w tej materii oświecić. Albo może poczytać sobie jeszcze raz to o czym piszą?

I nie pisać potem takich zdań „Nie wiem czy stać na nią (na problematykę intelektualną — przyp. mój) najmłodsze pokolenie”. Bo albo się coś wie albo się nie pisze ustawowych recenzji. Jeżeli młodej krytyki nie stać „na problematykę intelektualną” to jeszcze nie dowód, że ona nie istnieje w utworach tzw. „dwudziestolennych” (czyli komi pod trzydziestkę i po trzydziestkę!), jak to pisują postarzający się w ten sposób nasi rówieśnicy.

Pamiętam pewien estry spór między terroretykami pryszczatych — Grzegorzem Lasotą a J. Jarosławem Iwaszkiewiczem na zjeździe polonistów w Poznaniu, w roku 1952. Iwaszkiewicz przytóżwał krytyków do wieprzy żywiących się żołądziami spadającymi z dębów. Lasota omal mu z trybuny oczu nie wydrapał. Pokrzykiwał, pięścią machał, jak to on tylko potrafił, a Iwaszkiewicz tylko się uśmiechał z pierwszego rzędu. I cóż — o Lasocie słuch wszelki zagnał, działa teraz jako dosyć zdolny redaktor dodatku niedzielnego „Sztandaru młodych”, a Iwaszkiewicz, wiadomo. (Złośliwy duszek, który siedzi na moim ramieniu, podszeptuje: „Iwaszkiewicz broni pokoju”. Ale ja z duszkami nie chcę mieć nic wspólnego, i mówię, że Iwaszkiewicz przetrwa jeszcze całą czarną sotnię takich Lasotów.)

Czy ma to być przytyk do krytyków-rówieśników? Och, nie. Chciałem tylko zauważyć, że jeśli to prawda, iż Hiasko jest tak wbitną indywidualnością, że nas już deprawuje — no to cóż, przemiemy bez sławy, a na naszych erobach zasłanie smutny Anioł Krytyki i westchnie: nie mogliście to o niebaczni! poruszać problematyki intelektualnej!

BOHDAN DROZDOWSKI

URLOPY BYŁY WAŻNIEJSZE

W niektórych salach nabrał już niezłego rozmachu, w innych — jak np. w Filharmonii Narodowej — rozpoczęła się w piątek. Podobnie jak poprzedni — obecny sezon zapowiada się bardzo interesująco. Wystarczy przypomnieć, że orkiestra Filharmonii krakowskiej wykonała „Wisłę” Palestrę, że w Warszawie zapowiada się słynną Muzykę na celestę, harfę, orkiestrę smyczkową i perkusję Beli Bartoka, że mówi się o przyjeździe pani Martenot, która wykona któryś z koncertów na Fale Martenota i orkiestrę... Plany bardzo szerokie — szkoda tylko, że wszyst-

MUZYKA

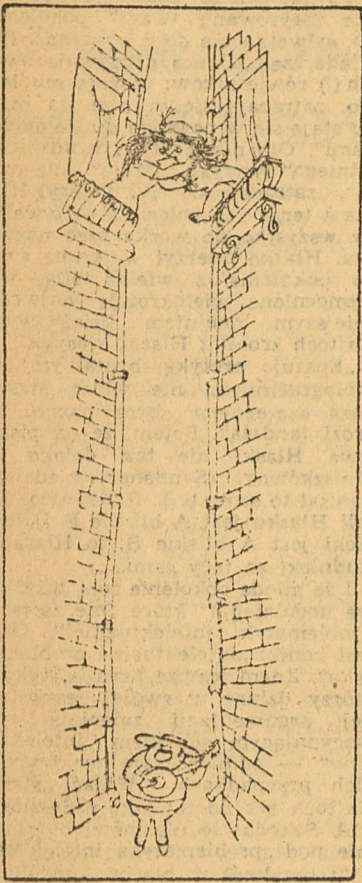
ko wskazuje na to, iż zapozna się z nimi jedynie niewielka ilość melonów. Polskie Radio jest bowiem nieugięte i — na razie nie słysząc o zamiarze podjęcia przez nie transmisji i retransmisji z naszych sal koncertowych.

Zyjemy w kraju absurdalnym — nie da się ukryć! W radio słyszemy niemal co tydzień znakomite koncerty, będące transmisjami lub retransmisjami z wielkich festiwali muzycznych w Europie. Inicjatywa godna największej pochwały — tutaj nie powinno się żałować deiz, bo wydatki na podnoszenie naszej kultury muzycznej sowedie się na pewno opłacać! Przedziwna jednak sprawa,

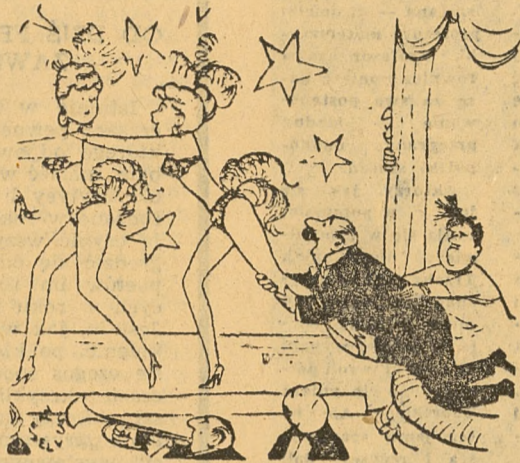
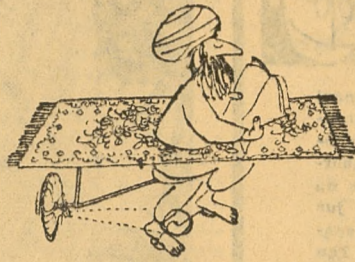
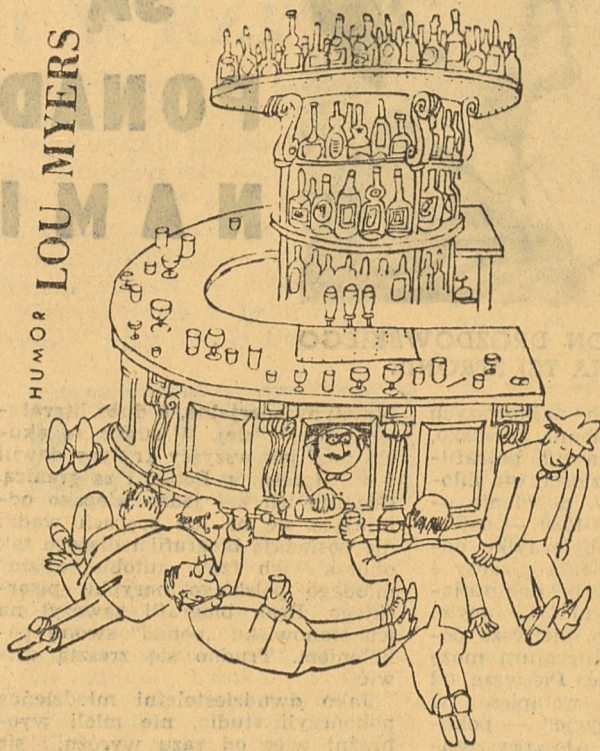
iz wśród owych transmisji z festiwali Casals, z Wiener Festwochen czy z Lucerny — nie znajduje się ani jedna (tak, ani jedna!) transmisja koncertu polskiego. Takie rzeczy trafiają się tylko u nas, proszę państwa.

Bez śladu przeminięły tak niezwykle wydarzenia muzyczne, jak pierwsze w Polsce wykonanie „Wesela” Strawińskiego w Filharmonii Narodowej, lub Oratorium „In Terra Pax” Franka Martina także, Pasji św. Mateusza Bacha w Krakowie i jeszcze szeregu innych wielkich utworów. Na prowincji dowiedzieli się ludzie o tym wszystkim jedynie z notatek w prasie lub wiadomości w dzienniku radiowym. Ale radio powinno im przecież dać możliwość przeżywania przy głośniku tych samych wrażeń, które przeżywa publiczność Warszawy, Krakowa czy Łodzi.

Pisało się o tym już wiele razy. A tymczasem „u góry” stale jeszcze trwają przetargi. Czy płacić za transmisję, czy nie? Po ile dawać muzykom, po ile solistom? Ile razy można puszczać na antenie nie archiwalnie nagrane koncerty? Liczyliśmy wszyscy na to, że przed rozpoczęciem sezonu zapadną wreszcie odpowiednie decyzje i mikrofony radiowe powrócą do sal koncertowych. Niestety — urlopy okazały się widać ważniejsze. Trudno!



HUMOR LOU MYERS



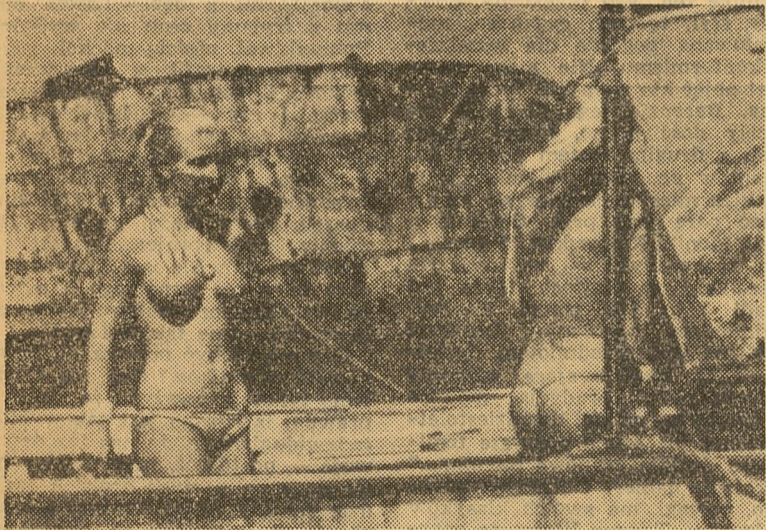
TADEUSZ ŚLIWIAK

BYŁEM NA WYSPIE

NUDYSTÓW

PODRÓŻE

Miasto coraz gwałtowniej wydiera cieniem uchodzącej nocy swoje naturalne barwy. Nad wejściami do kawiarni i sklepów drgają już rozpięte płótna pasiastych markiz. Pojawiają się pierwsi przechodnie. To wracający z portu marynarze. Figlarnym żarcikiem ich białych mundurów są czerwone, włochate papełki noszone przez nich na czapkach. Pod dwiema wysokimi palmami, grupa ludzi czeka na autobus, który zawiezie ich w stronę Nicei.



Oto jedno ze zdjęć, jakie udało mi się zrobić na wyspie nudystów

Jesteśmy w Tulonie. Godzina szósta trzydziści. Zawarliśmy już miłą znajomość z palmami, które pierwsze były uprzejme nas powitać po opuszczeniu dworca. Ale oto autobus. Jedziemy przez budzące się miasto. Mijamy pierwsze stragany z południowymi owocami. Raz po raz wyskakują nam przed oczy barwne plansze reklamujące wszelakie cudowności, które znamy tylko ze słońca. W tej chwili przejeżdżamy obok portu. Stoi tu kilka okrętów wojennych. Z miasta wyprowadzają nas strone uliczki. Mijane domy coraz częściej przekształcają się w uroczę pałacyki otoczone egzotyczną zielenią. Kręta szosa to zbliża nas, to oddala od morskiego brzegu, tak, że patrząc przez szybę autobusu wydaje się nam, że oglądamy wspaniały, świetnie wyreżyserowany film. Przyjemność tym większa, że to rzeczywistość. Jesteśmy więc na słynnym Lazurowym Wybrzeżu. Oto wjeżdżamy do o-

krzyżanego przez drogowskazy Lavandou. Stąd zabierze nas statek do celu naszej wielogodzinnej podróży, na wyspę Ile de Port — Cros, — jednej ze Złotych Wysp.

Tymczasem Morze Śródziemne pokumało się z piekącym już nie-milosiernie słońcem i przybrało barwę lazurową, chcąc zapewne zadokumentować w ten sposób, iż nazwa jego wybrzeża nie jest dziełem przypadku. Wzdłuż szerokiej ulicy ciągnie się rząd zaparkowanych samochodów. Niektóre z nich stoją tu już od kilku tygodni a ich właściciele spokojnie korzystają z wakacyjnych przyjemności na pobliskich wyspach.

Podłoga statku drgnęła. Odbijamy od brzegu. Usadawiłem się z tyłu aby obserwować nłknące Lavandou. Między załadowanymi na statek skrzynkami „Coca — Coli“ rozmazuje się kolorowy odcinek brzegu. Port Cros coraz bliżej. Wkrótce szara, wynurzająca się z morza skała ukazuje nam swoją zieleność oraz kolorowe plamki swoich przybrzeżnych hoteli.

Płynący z nami przyjaciele wskazują na wyspie szary punkcik. To fort d'Estissac — mówią, tam zamieszkamy. Widzimy go teraz wyraźniej. Położony jest wysoko.

Mój Boże, czyż można nie użyć tu słowa „króluje“ nad wyspą.

Kiedy mówili mi, że sąsiednią wyspę Ile du Levant zamieszkują nudyści — nie brałem tego poważnie. Sądziłem, że widziano tam więcej niż gdzie indziej kobiet w skąpych kostiumach kąpielowych „bikini“ i dodałszy do tego zwyczajną ludzką skłonność do przesady, zaczęto mówić o „wyspie nudystów“. W tej przykrych nieświadomości prawdy, żyłem na wyspie cały tydzień. Trzeba było przypadkowej przejażdżki do Ile du Levant aby przekonać się, że istotnie mieszkają tam nudyści.

Statek dobił do brzegu. Do brzegu, gdzie aż roilo się od kobiet z obnażonymi piersiami. Za całą garderobę służyła im latka płótna nie większa od pudełka zapalek a najwyższej pudełka papierosów, przymocowana sznurkami do bioder. Ale to tylko przy brzegu. W głębi wyspy natura święciła triumf całkowity. Pozwolił mi to stwierdzić płynący ze mną Malajczyk, użyczając mi swojej potężnej lornety (ciekawe po co on brał ją ze sobą?).

Mimo, iż celem mojej przejażdżki miała być inna wyspa (wykupiłem już nawet bilet) postanowiłem wysiąść tu aby ponieść karę za moje poprzednie niedowiarstwo. Chcąc utrwalić ten zbiorowy strip-tease na brzegu przytknąłem dwa zdjęcia. Próba zrobienia dalszych, spotkała się z gwałtownym protestem moich przypadkowych modelek. Zrozumiałem w lot lokalną zasadę: „tu możesz patrzeć ile chcesz, ale na wynos nie wolno“, — schowałem pospiesznie „Zorkę“ i postanowiłem udać się w głąb wyspy. Ale już po zrobieniu kilku pierwszych kroków poczułem się jak obcy żołnierz w stolicy wrogiego państwa. Patrzono na mnie z udaną obojętnością pod którą kryły się niezbyt przyjazne życzenia. Miałem na sobie krótkie spodnie, zdjąłem również koszulę. To złagodziło trochę natęczywość nieprzychylnych spojrzeń. Zrozumiałem, że dalej nie wolno mi się posuwać. Cofnąłem się więc w stronę brzegu. Zauważyłem, że wiek większości spotkanych tu kobiet wyraźnie przekracza trzydziestkę. Wszystkie są na ogół zgrabne, lecz ich uroda nie jest tą, która reprezentuje Francję. Nie znaczy to, aby nie było tu przystojnych kobiet. Owszem są również.

Nie wspominałem dotychczas o mężczyznach. Otóż mężczyźni daleko bardziej znajdują się w kolizji z tutejszymi obyczajami. Niemal wszyscy noszą bardzo ograniczone w wymiarach slipy ale noszą. (Podobno slipy w tutejszej gwarze nazywane są dziwnie, bo „asekuratkami“).

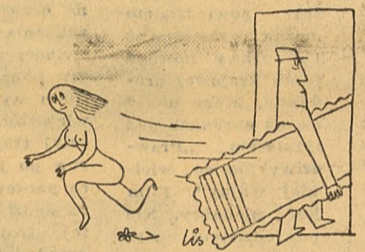
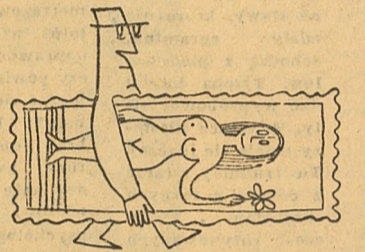
Ludzie przyjeżdżający tu na wakacje to najczęściej ludzie bogaci, noszący na swoich walizkach nalepki z hoteli najmodniejszych miejscowości Europy i nie tylko

Europy. Ludzie, którzy wiele widzieli i jeszcze więcej przeżyli. Oni też zapewne finansują bogato ilustrowany periodyk — organ nudyistów o nazwie „La Natura“, którego egzemplarze widziałem tu w wielu rękach. Z dalszych rozmów dowiedziałem się, że mieszkańcy wyspy wyznają własną ideologię, której przedmiotem stała się natura w swojej najczystszej formie.

Po kilku godzinach pobytu na Ile du Levant powoli przyzwyczajamy się do widoku nagich ciał i wtedy zaczynamy dostrzegać również urodę samej wyspy porosłej pięknymi gatunkami południowych drzew i krzewów.

Kiedy wracałem statkiem do Port Cros, siedziałem obok przystojnej blondynki odzianej w duże słoneczne okulary i trzywiciowe spodnie, przypominające barwą upierzenie papug. Stwierdziwszy, że ma ładne piersi przez dalszy czas podróży obserwowałem już tylko popisy miłośników nart wodnych. Na długiej linie holowały ich szybkie motorówki. Te wodne narty to bardzo piękny sport.

Nad Morzem Śródziemnym w sierpniu 57.



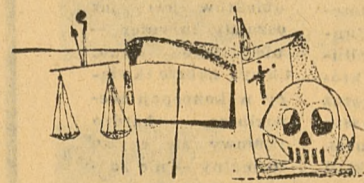
Rys. J. LISICKA

Jan Sztaudynger

TRZY PO TRZY

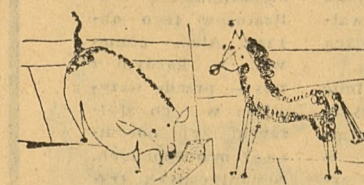
ODKRYCIE

Życie nam skarby wciąż nowe otwiera, Aż nagle spostrzegamy, że tak się umiera.



PROŚBA

Nie bądź taka, Pozwól pogłaskać kociaka.

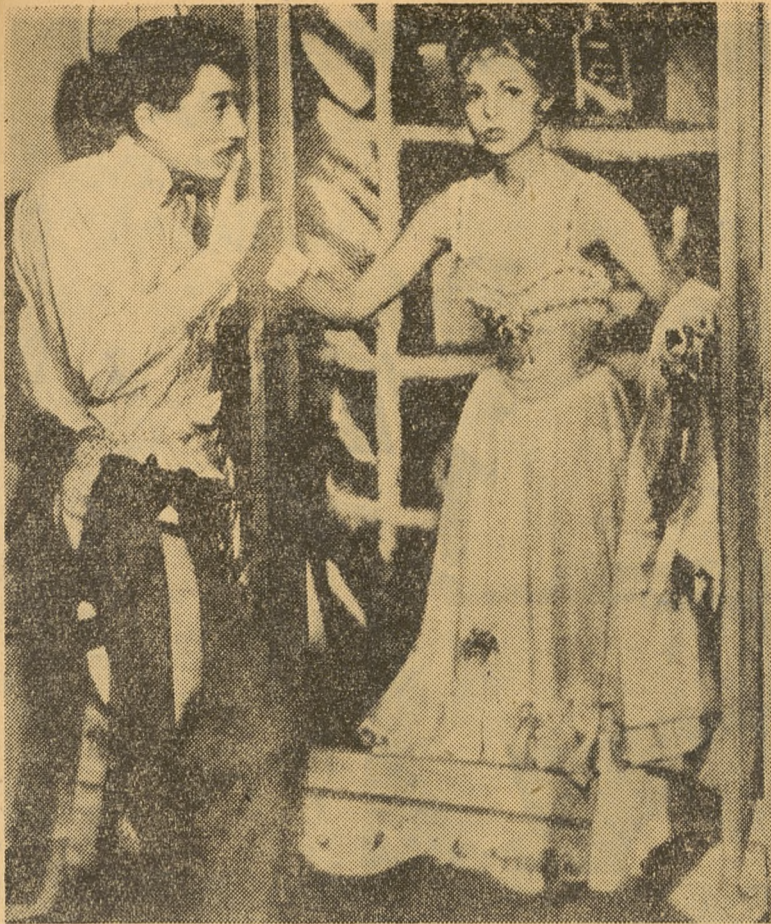


Rys. W. LASZCZUK



ROZMOWA

Do chudej szkapę rzekła świnia znad koryta: „Cóż z tego, żeś ty głodny, gdy ja jestem syta“.



Przygoda w Adenie z Dany Robin w roli głównej

PAMIĘTNIK Eisenhowera

CZĘŚĆ II.

Streszczenie poprzedniego odcinka:

Marszałek Żukow spotkał się z gen. Eisenhowerem w Berlinie, oznajmiając nadanie mu sowieckiego odznaczenia „Orderu Zwycięstwa”. Gen. Eisenhower zaprasza wobec tego Żukowa do swej kwatery we Frankfurcie nad Menem, gdzie ma nastąpić dekoracja.

Zachęcałem Żukowa, by na uroczystość dekoracji zabrał z sobą do Frankfurtu kilku swych współpracowników ze sztabu i pozostał z nami jak długo sobie tego będzie życzył, zapewniając go jednocześnie o gorącym przyjęciu. Odpowiedział mi na to, że przyjedzie dnia 10 czerwca w towarzystwie co najwyżej dziesięciu oficerów sztabowych, zaznaczył jednak, że będzie mógł pozostać tylko jeden dzień. Postanowiłem uczcić Żukowa i jego towarzyszy uroczystym bankietem.

Tymczasem, zaledwie na kilka godzin przed jego przybyciem, otrzymałem telegram zawiadomieniem, że poza dziesięcioma oficerami sztabowymi przywiezie z sobą jeszcze pięciu oficerów straży przybocznej („body-guards”). Oficer straży przybocznej był to funkcjonariusz, o jakim jeszcze nigdy dotychczas nie słyszałem — byłem też w kłopotcie, co zrobić aż z pięcioma naraz w czasie bankietu. Upredziłem o tym oficera kasynowego, przyrzekając mu dalsze dyrektywy po przybyciu marszałka na miejsce.

Na powitanie Żukowa zjawiliśmy się na lotnisku z oddziałem honorowym i orkiestrą armii Stanów Zjednoczonych. Zaprosiłem następnie Żukowa i tłumacza do samochodu, który powiózł ich wraz ze mną do kwatery głównej. W czasie drogi wysunąłem niezwłocznie sprawę uplasowania oficerów straży przybocznej. Oświadczyłem gotowość usadowienia ich dokoła marszałka — w bezpośredniej jego bliskości, lub też postawienia ich tuż za nim, albo wreszcie posadzenia ich na szarym końcu stołu. Kiedy przetłumaczono mu moje propozycje, marszałek zachnął się: „Prozę powiedzieć generałowi, by utkał ich, gdzie mu się żywnie podoba. Przywiozłem ich tutaj, bo tak kazano mi uczynić”. Zakończyło to sprawę oficerów straży przybocznej w sposób nie następujący dalszych kłopotów.

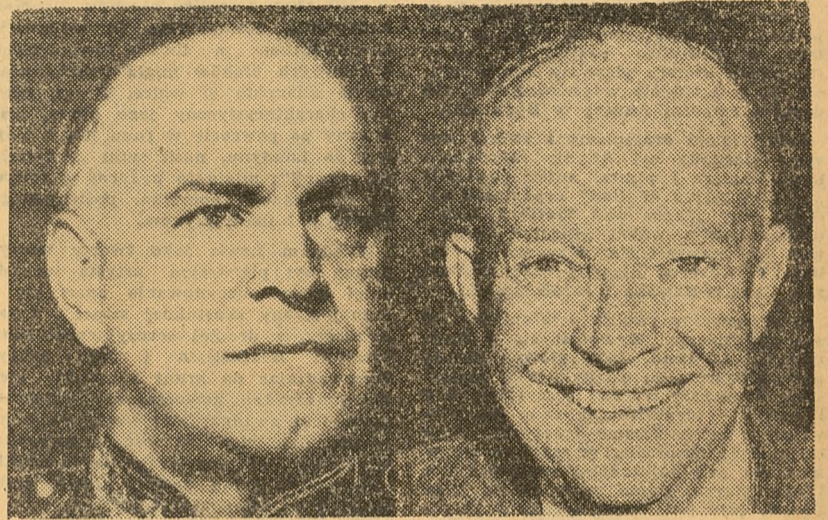
Bankiet w Frankfurcie udał się znakomicie. Korzystając z pięknego dnia letniego wyprowadziłem gości przede wszystkim na obszerny, otwarty krużganek, gdzie podano wino i przystawki. Zaaranżowaliśmy w tym czasie dużą rewie lotniczą dla uczczenia marszałka. Sciągnęliśmy z okolicznych lotnisk dobrą setkę samolotów myśliwskich, po których napływały bombowce wszelkich posiadanych przez nas typów — od najcięższych do najlżejszych. Potężne to widowisko, w pełnym blasku promieni słonecznych, wywołało na Żukowie duże wrażenie — tak się nam przynajmniej zdawało.

Według naszej najlepszej wiedzy, zwyczaj rosyjski wymagał wzniesienia w czasie uczy szeregu toastów. Marszałek był doskonałym mówcą — tak przynajmniej wnioskowaliśmy — a jego słowa, przekazywane nam przez tłumacza, wyrażały obok zwrotów grzecznościowych nadzieję w powodzenie zamierzone, przez nas współpracy. Toasty wznosili wszyscy po kolei: Anglicy, Amerykanie, Rosjanie, Francuzi. Podrywaliśmy się z krzeseł chyba co najmniej z tuzin razy. Zauważyłem, że Amerykanie poszli za moim przykładem i napełniali swoje kieliszki wodą, zabarwioną tylko o ty-

le czerwonym winem, by nadać napojowi jakiś taki wygląd trunku. Odznaczenia nadane Montgomeryemu i mnie były jednymi z niewielu, posiadającymi obok znaczenia natury uczuciowej i symbolicznej także wartość konkretną. Wykonane były w kształcie gwiazdy, przy czym w środku każdego orderu odtworzona była w emalii niewielka podobizna Kremla, otoczona grupą syntetycznych rubinów, okolonych osiemdziesięcioma do dzie- więćdziesięciu diamentami.

Zarówno ze strony Żukowa jak i jego współpracowników wyczuwa się gorące pragnienie wywołania nastroju przyjaznego i zachęcającego do wzajemnej współpracy. Patrząc na to retrospektywnie wydaje mi się, że dzień ten był promienną zapowiedzią serdecznych i ścisłych stosunków z Rosjanami. Zapowiedź ta, zagubiona w podejrzeniach i wzajemnych inwektywach, nie miała się nigdy spełnić. Jednakże, jeśli chodzi o mnie i o marszałka Żukowa, to aż do chwili opuszczenia przeze mnie Europy w listopadzie

jednak na diametralnie przeciwnych biegunach... Toteż po obu stronach piętrzyły się przeszkody, narastały wątpliwości i obawy fiaska stosunków amerykańsko-sowieckich... Berlin, zdaniem naszym, był tym laboratorium eksperymentalnym, gdzie wykulywały się drogi mogące prowadzić do rozwoju międzynarodowej harmonii. Tam właśnie Zachód był sprzeżony ze Wschodem z zadaniem przeprowadzenia reorganizacji kraju o wysokiej strukturze ekonomicznej i oddziałości wychowawczej na liczny naród, celem nagięcia go do myślenia kategoriami politycznej przyzwrotności, tak by Niemcy oczyszczone z drażących je zapędów i woli agresji, mogły być przywrócone na łono rodziny narodów. Gdyby zatem te wspólne wysiłki Wschodu i Zachodu mogły doprowadzić również do podjęcia przyjaznych dróg i sposobów w rozwiązywaniu nurtujących nas lokalnych różnic i zagadnień, stałyby się tym samym potężnym krokiem naprzód do przyjaznego załatwienia problemów o aspekcie światowym. Toteż dla nas, Amerykanów, zrobienie wszystkiego, co leżało w naszej mocy, by przyczynić się na tym lokalnym (berlińskim) odcinku do czynnego współdziałania między Stanami Zje-



dnocznymi a Rosją, było celem usuwającym w cień wszystkie inne... Ożywiała nas potężna nadzieja, że potrafimy wywołać wśród wszystkich ludzi, zaangażowanych w okupacji Niemiec, wzajemne zrozumienie siebie samych, jako jednostek dążących do wspólnego porozumienia, wspólnego celu — dla naszego wspólnego pożytku. Gdyby taki nastroj „zrodził się” w Berlinie, przeniknąłby poprzez granice Niemiec do naszych stolic. Dobre samopoczucie, okazywane manifestacyjnie przez głowy państwa podczas międzynarodowej konferencji w Poczdamie, było zachęcającym startem. Gdybyśmy więc i my mogli nauczyć się prowadzenia naszych spraw przy stołach konferencyjnych jak przyjaciel z przyjacielem, to w konsekwencji moglibyśmy współżyć i współpracować z sobą jako przyjaciele nad zagadnieniami w skali światowej. Wynalezienie zatem pewnego modus vivendi pomiędzy Wschodem a Zachodem było naszym zasadniczym celem.

Dnia 2 sierpnia prezydent Truman wraz z otoczeniem opuścił Niemcy udając się do Stanów Zjednoczonych. W kilka dni później zawiadomiono mnie z Waszyngtonu, że generalissimus Stalin zaprosił mnie do odwiedzenia Rosji. Było to ponownie zaproszenie, skierowanego do mnie w początkach czerwca, którego nie mogłem wtedy przyjąć, zmuszony do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych na rozkaz Departamentu Wojny. Rząd mój, przysyłając mi zaproszenie obecne, wyrażał nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie w jego przyjęciu.

Wojna wysunęła Stany Zjednoczone i Rosję jako dwa najpotężniejsze narody globu ziemskiego... Poprzednie stosunki pomiędzy Ameryką a Rosją nie stwarzały powodu do pesymistycznego spoglądania w przyszłość. Historia wykazywała, że dwa te narody utrzymywały z sobą stałe stosunki przyjazne, których początek sięgał do czasów narodzin Stanów Zjednoczonych jako niezależnego państwa. Poza krótkim okresem, oba kraje utrzymywały również nieprzerwane stosunki dyplomatyczne... Były też dwukrotnie sprzymierzeńcami w wojnie, a od roku 1941 oba te państwa były wzajemnie od siebie zależne w wysiłkach mających na celu ostateczne zwycięstwo nad siłami europejskiej „osi”. Ideologicznie stały

dnocznymi a Rosją, było celem usuwającym w cień wszystkie inne... Ożywiała nas potężna nadzieja, że potrafimy wywołać wśród wszystkich ludzi, zaangażowanych w okupacji Niemiec, wzajemne zrozumienie siebie samych, jako jednostek dążących do wspólnego porozumienia, wspólnego celu — dla naszego wspólnego pożytku. Gdyby taki nastroj „zrodził się” w Berlinie, przeniknąłby poprzez granice Niemiec do naszych stolic. Dobre samopoczucie, okazywane manifestacyjnie przez głowy państwa podczas międzynarodowej konferencji w Poczdamie, było zachęcającym startem. Gdybyśmy więc i my mogli nauczyć się prowadzenia naszych spraw przy stołach konferencyjnych jak przyjaciel z przyjacielem, to w konsekwencji moglibyśmy współżyć i współpracować z sobą jako przyjaciele nad zagadnieniami w skali światowej. Wynalezienie zatem pewnego modus vivendi pomiędzy Wschodem a Zachodem było naszym zasadniczym celem.

Dnia 2 sierpnia prezydent Truman wraz z otoczeniem opuścił Niemcy udając się do Stanów Zjednoczonych. W kilka dni później zawiadomiono mnie z Waszyngtonu, że generalissimus Stalin zaprosił mnie do odwiedzenia Rosji. Było to ponownie zaproszenie, skierowanego do mnie w początkach czerwca, którego nie mogłem wtedy przyjąć, zmuszony do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych na rozkaz Departamentu Wojny. Rząd mój, przysyłając mi zaproszenie obecne, wyrażał nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie w jego przyjęciu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

NIEKTÓRE ATRAKCJE Z LISTY ZAKUPIONYCH FILMÓW

„PRZYGODA W ADENIE”

— to w panoramie i kolorze opowiedziana historyjka miłosna utrzymana w tonie komediowym i egzotycznym tle Adenu. W roli głównej Dany Robin. Reżyserował Michel Boisrond.



„BOSONOGA CONTESSA”



— kolorowy film amerykański wyprodukowany we Włoszech przez słynnego reżysera Josepha L. Mankiewicza. Jest to historia kariery hollywoodzkiej gwiazdy, w roli której występuje nieznaną u nas jeszcze Ava Gardner, a partnerują jej Rossano Brazzi i nieżyjący już sławny aktor amerykański Humphrey Bogart.

„PAMIĘTNIK MJR. THOMPSONA”



— w reżyserii Sturgesa, jest dowcipną opowieścią o mieszanym anglo-francuskim małżeństwie. W rolach głównych Martine Carol, Jack Buchman i Noël — Noël.

„MOULIN ROUGE”



— angielski barwny film zrealizowany przez Johna Hustona z udziałem artystów Zsa Zsa Gabor i Jose Ferrera. Film o wielkim francuskim malarzu — kalece Toulouse Lautrec.

„CHLEB, MIŁOŚĆ I FANTAZJA”

— komedia produkcji włoskiej. Reżyserował Luigi Comencini. Historia sierżanta policji Vittorio de Sica (zakochanego w wiejskiej dziewczynie) Gina Lollobrigida

„FRENCH CANCAN”

— kolorowy film produkcji francuskiej w reżyserii Jean Renoira z Marią Felix, Françoise Arnoul i Jean Gabin w rolach głównych jest historią twórcy i pierwszego właściciela znanego kabaretu paryskiego „Moulin Rouge”.

„BIGAMISTA”

— wesola komedia satyryczna zrealizowana przez Luciano Emmera z udziałem Giovanni Ralli, Vittorio de Sica i Marcello Mastroiani.



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

21)

WORTYCYZM

Nazwa „WORTYCYZM” (vorticism) pochodzi od słowa: vortex (wir), zawartego w podtytułe przeglądu „Blast” (Huragan), którego pierwszy numer ukazał się w Londynie w czerwcu 1914, zaś drugi i zarazem ostatni w lipcu 1915.

Założycielem czasopisma i twórcą nowego kierunku był Anglik Wyndham Lewis malarz i pisarz, autor powieści: „Tarr” i „Apes of God” oraz tomu esejów pt. „Time and Western Man”. Oprócz Lewisa wokół „Blastu” zgrupowali się malarze: Ed. Wadsworth, William P. Roberts, Etchells oraz rzeźbiarze: Gaudier-Brzeska i Jacob Epstein.

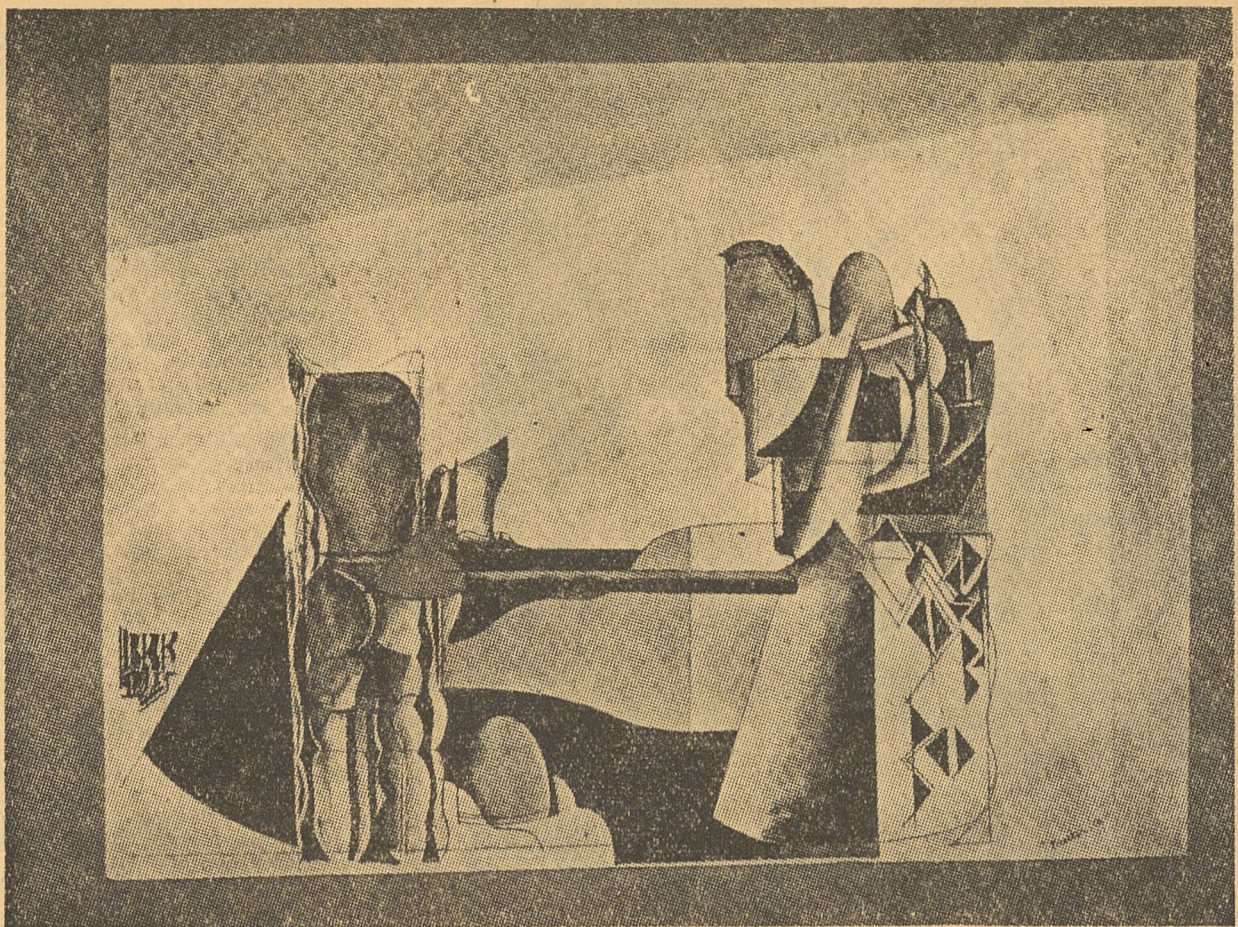
Wortycyzm w swoich założeniach w znacznej mierze wywodził się z futuryzmu i kubizmu. Jako główną zasadę przyjął dążenie do osiągnięcia w malarstwie i rzeźbie wyrazu szczytowej siły i energii, identyfikując całe przedstawienie z mechanizmem maszyny. Jego celem była ekspresja, wyrażająca się w środkach jak najbardziej sumarycznych i oszczędnych. Poeta amerykański Ezra Pound, entuzjasta wortycyzmu w litera-

turze definiując słowo vortex pisał: „Wir (vortex) jest punktem szczytowym siły. Reprezentuje w mechanice największą skuteczność”.

Ow angielski „maszynizm” różnił się jednakże dość zasadniczo od „maszynizmu”, charakterystycznego dla futuryzmu. Jego zainteresowanie dla maszyny miało się wyżyć włoskiego sentymentalizmu. W pierwszym numerze „Blastu” spotykamy się z dość gwałtownym atakiem na futurizm włoski. Czytamy tam: „Automobilizm (marinetyzm) nas nudzi. Nie chcemy czynić większego hałasu z powodu samochodów niż z powodu noży i widelców, stoni, czy też rury od gazu”. Wychodząc w swoich rozważaniach z konstruktoryzmu Cezanne’a, z architektury jego obrazów, młodzi artyści zwrócili się ze swoimi zainteresowaniami w stronę maszyn, gdzie łatwiej niż w dziełach natury można było się dopatrzeć regularnych brył geometrycznych: cylindrów, stożków, kul. W jasnej precyzji toków i kół artyści odkrywali formy, które miały skutecznie przeciwstawić się niedorzecznościom sztuki z okresu wiktoriańskiego.

Zapoczątkowany w r. 1914 nowy ruch, przerywa kataklizm pierwszej wojny światowej, w której Wyndham Lewis sam bierze czynny udział, walcząc jako artylerzysta przez dwa lata we Francji. Wojna, działając z jednej strony mroźną na rozwijający się nowatorski kierunek, z drugiej wycisnęła na nim swoje piętno, wywierając znaczny wpływ na twórczość przede wszystkim Lewisa, który już w czerwcu 1914 ulegając nastrojom wojennym, wystawił jeden z „wybitniejszych swoich obrazów — „Plan kampanii”. Kompozycja ta całkowicie skonstruowana z linii równoległych i barwnych bloków miała przedstawiać armie alianckie w walce. Drugi, równie charakterystyczny jego obraz, malowany po powrocie w roku 1918 z wojny do Londynu, nosił tytuł „Artyleria na pozycji”; miało to być coś w rodzaju malowanego pomnika, poświęconego poległym Kanadyjczykom.

Wyndham Lewis jako twórca wortycyzmu był pierwszym artystą angielskim który zdecydowanie oparł się z jednej strony skostniałej sztuce Royal Academy, z drugiej secesyjnemu estetyzmowi Beardsley’a i jego grupy, wprowadzając na grunt angielski niektóre zasady nowoczesnej estetyki, nurtującej awangardowe prądy na kontynencie; a więc dążność w kierunku większego zdyscyplinowania sztuki, oczyszczenia jej z dotychczasowej skłótności i naiwnej afektacji.



WYNDHAM LEWIS one of the backs — 1922

Ze znanych jego obrazów najlepiej wortycyzm charakteryzują: kompozycja „Zachód słońca w Atlasie” oraz znajdujące się w Tate Gallery, dwa płótna: „Scena czerwona” i portret Edith Sitwell. W pierwszym z wymienionych obrazów dostrzegamy silne wpływy kubizmu przy równoczesnej dążności do oddania dość płynnej atmosferyczności. Kompozycja „Scena czerwona” zawarta została w barwach ciemnych i matowych w przeciwieństwie do charaktery-

stycznej dla Lewisa „metaliczności” jego obrazów; architektonika tego obrazu nie wynika tylko z naukowej geometrii, ale przede wszystkim z jego naturalnej harmonii. Ostatni z wymienionych obrazów, stanowiący studium portretowe posiada wszystkie cechy typowe dla malarstwa Lewisa; a więc przewagę linii wertykalnych oraz wyraz metaliczny, chłodny, rzeźbiarski, uderzający rygorystyką spekulacji geometrycznych, swoją precyzją i jasnością.

Dlatego znaczenie wortycyzmu jest bardziej historyczne niż artystyczne. Bowiem rezultat artystyczny osiągnięty przez malarzy i rzeźbiarzy skupiających się wokół czasopisma „Blast” miał bez porównania mniejsze znaczenie od faktu dokonania pierwszego zdecydowanego artystycznego przewrotu, próby nawiązania do awangardowej twórczości plastycznej w Europie, co dla dalszego rozwoju sztuki angielskiej miało bardzo istotne znaczenie.

REPORTAŻ

pod którym
autor

nie mógł się podpisać

(Dokończenie ze str. 3)

ca amerykańskiego dziennika „Overseas Weekly”.

— O przepraszam, bardzo przepraszam — mityguje się blondyn.

Nieopisane napięcie towarzyszyło tej scenie. Glina — szepce mi fotoreporter siadając. Tymczasem SS-man z czerwoną legitymacją i znacznikiem HIAG lokuje się w pobliżu stołu prasowego. Rozmawia z kimś komu na pierśiach zwisa aparat fotograficzny. Dochodzi nas jego głos: zróbcie im zdjęcie — wskazuje głową na nas dziennikarzy.

Oko obiektywu celuje w naszą stronę. Jeden z kolegów zrywa się i błyska raz po raz fleszem wprost do wycofanego obiektywu, udaremniając zdjęcie. Nikt z nas nie ma ochoty dostać się na czarną listę SS.

Ale i tak każdy z nas będzie na pewno sfotografowany. Kiepski blondyn nie spuszcza oka z magnetofonu. Nawet wtedy, kiedy wiwatuje na cześć ostatniego dowódcy SS Division „Hitler Jugend” — Kurta Meyera, który właśnie rozpoczął przemówienie.

STRÓŻE MORALNOŚCI

Przemówienie to jest wielkim usprawiedliwieniem SS: „Sprowadził nas tu głos sumienia, chcemy wypełnić testament naszych poległych, to co nas łączy i wiąże na zawsze, musimy i będziemy głosić otwarcie. Nie straciliśmy wiary w Niemcy”.

Rok napadu hitlerowskiej armii na obce kraje, Panzer-Meyer nazywa „rokiem konieczności, rokiem przeznaczenia”. „Nikt z nas nie był winien, a jeśli nawet ktoś ponosił winę, zawsze umiał zachować się po męsku. Byliśmy orężem narodu”.

Wszystkie okrucieństwa i zbrodnie SS Panzer-Meyer nazywa pogardliwie wymysłami i plotkami. „To mizerne pismaki rozlewają takie plotki. Musimy rozwinąć przeciw nim kontrnatarcie. Dbajcie o to, aby te bakcyle demoralizacji nie rozprze-

strzeniały się. Dbajcie o to, aby takie dzienniki nie wpadały w ręce młodzieży”.

Wrzaskliwy aplauz sali.

Co teraz się stanie? Przecież tu pośrodku sali siedzi grupa takich „pismaków”. Nastroj pogromu wisi w powietrzu. Okrzyki: hańba! — i stęk obelg wzmaga się. Jeszcze jedno słowo Panzer-Meyera a wtedy...

Ale ten mówi już o czym innym. Występuje właśnie w obronie III Rzeszy, przeciwko temu, jakoby była ona państwem nieprawości i zbrodni. Przecież SS była w nim prawdziwym stróżem moralności...

GORĄCZKA

Dreszcz przebiega mi przez plecy. Mam gęsią skórę — chociaż na sali gorąco. Zaduch można ciąć nożem. Słyszę dalej: „Jesteśmy na zawsze ze swoimi starymi dowódcami. Będziemy z nimi, choćby nie wiem co przyszło”... Gromot oklasków towarzyszy tym słowom.

„Spójrzcie przez okno — mówi dalej Panzer-Meyer — widać stąd nasz parking samochodowy. Czy tak mogą wyglądać zdrajcy i przestępcy? Wszystkim się wam dobrze wiedzcie. 1000 samochodów stoi tam w równym szuku i szeregu (stara dyscyplina nie poszła w las). Są one symbolem na nowo osiągniętego dobrobytu, który był kiedyś przywilejem gwardii, którą nade wszystko ukochał Adolf Hitler... Mała grupa fanatyków zmęsty utrudnia uzdrowienie całego narodu. Rzekomi zbrodniarze wojenni powinni być natychmiast zwolnieni. Jesteśmy bowiem pełnowartościowymi członkami społeczeństwa. Nie ma więccej problemu SS. Jest tylko problem żołnierzy niemieckich. Myśmy się podporządkowali wielkiemu przeznaczeniu Niemiec. Stan, w którym żyjemy nie może nikogo zadowolić. Człowiek w tych zawiłych czasach nie może się obejść bez wojskowego, marszowego kompasu.

Pewnego dnia przyjdzie wielki przełom ducha. Nie chcemy pozostać w tyle”...

O tak. On wie, czym zebrany tłum podnieść. Sala ryczy entuzjazmem w najwyższej gorączce. Bieda nam, gdyby kiedykolwiek ich czas miał znowu nadejść...

UPIORY

Ze wszystkich stron zieje odwieciem. Nie, oni niczego nie nauczyli się z przeszłości. Czują się niewinni. To oni czują się pokrzywdzeni. Wołają znowu z całych sił „heil”. I śpiewają: Wir sind die Garde, die Adolf Hitler liebt!, jesteśmy ulubioną gwardią Adolfa Hitlera... Potem znowu hymn niemiecki. Widzę, jak dźwigają się ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu.

Śpiewają, jak w hipnozie ze szklanymi oczyma i skamieniałymi rysami twarzy. Widok upiorny.

Wygląda to tak, jak gdyby zesłali się tu po to, aby oszołomić się tą chwilą, aby ją przeżyć i pograć w wspomnieniach. Byłaby to jednak tylko połowa prawdy. Ich wrzask, ich buta, ich pogroźki, ich całe zachowanie mówią wiele, bardzo wiele...

Panowie z SS nie lubią prawdy. Przypomnieli o tym znowu na konferencji prasowej z Kerameyerem, z generałami SS Dittrichem i Meyem.

Pacyfikacje? Ach, drobiaz, to było w porządku. Lidce? Bajka. Oradour? To zrobił jeden żołnierz na własną rękę. Oświęcim, obozy koncentracyjne? Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Tak widzą oni swoją przeszłość. Na konferencji prasowej mówił przeciw Kernmeyer: „byliśmy pierwszą armią Europy. Mieliśmy w swych szeregach prawdziwych Europejczyków, którzy gotowi byli zginąć za Europę. W naszych szeregach był pielęgnowany głęboki szacunek dla człowieczeństwa”.

Jakże wymownie podczas tych słów jeden z byłych dowódców SS bawił się na swym palcu pierścieniem z trupią czaszką...

*

Taki był Karlburg. Powiedziałem na wstępie, że wydawało mi się, że zanurzyłem się po szyję w cuchnącym bajorze. Bieda, gdyby jego wody przerwały groble. B a d z m y c z u j n i!

WĘDRUJĄCY PAŁAC

Przy budowie dużej papierni w okolicach Grenoble miało miejsce ciekawe zdarzenie. Oto na terenie przyszłego obiektu przemysłowego stał mały pałacyk, którego zburzenie musiałyby kosztować ok. 100 milionów franków. Towarzystwo obliczyło, że przesunięcie go na inne miejsce będzie o połowę tańsze. Przystąpiono więc do prac i przeprowadzono to śmiało zamierzenie. Przez cały czas „podróż” willi sekretarka w swym pokoju pisała spokojnie na maszynie, patrząc od czasu do czasu przez okno na zmieniający się krajobraz. Trzeba jednak dodać, że nie miała zbyt wiele okazji do dystrykcji, bo wędrujący pałac odbywał swą podróż z szybkością ślimaka — 3,60 m. na godzinę.

GOŚĆ W OGRODZIE

Pani Switter z N. Yorku była właśnie zajęta w kuchni przygotowywaniem obiadu, kiedy synek zawołał z ogrodu: „Mamusiu, zobacz jakiego mamy miliego krokodyla!” „Co pleciesz, dziecko? Krokodyle są nad Nilem” — sprostowała matka. I nie czekając na wyjaśnienia dalej zajęła się swą pracą. „Ach, mamusiu, jaki ten krokodyl ma wspaniałe ogony!” — znowu zawołał po chwili synek z ogrodu. „Kiedy ty się wreszcie uspokoisz?” — zapytała zniecierpliwiona matka. „Ależ mamusiu, ten krokodyl jest rzeczywiście kochany” — odpowiedział niezmiernie mały. Tego już było za wiele. Pani Switter odstawiała z ognia kartofle, wytarła ręce i wybiegła do ogrodu, aby skarcić przeszkadzającego jej ciągle dzieciaka. Jakież było jej przerażenie, gdy na ścieżce zobaczyła syna przeskakującego tam i z powrotem przez najprawdziwszego krokodyla!!! Jak się okazało uciekł on z ogrodu zoologicznego.

NAJMŁODSZA MAMA

Lizy Blank — 9-letnia Murzynka z Arkansas zostanie w październiku br. matką. Stwierdzono to przy normalnych badaniach w szkole na serce i nerki. Lizy pobita w tej specjalności wszystkie rekordy — tak młodej mamy nie notowały dotąd żadne kroniki szpitalne na świecie.



ZMARTWYCHWSTAŁEM

Co się z wami dzieje? — zapytał wchodząc do swego domu wuj Daniel z Rotterdamu rodzinę, która witała go pełną przerażenia i bliska omdlenia. Nie przypuszczał, że dwa tygodnie temu został pochowany z należytą czcią w rodzinnym grobowcu jako ofiara katastrofy kolejowej. Okazało się, że honorów tych dostąpił zupełnie obcy jegomość fałszywie zidentyfikowany jako wuj Daniel. Prawdziwy wuj Daniel tymczasem odbywał 17-dniową karę za opilstwo w areszcie.

MISS SZKIELET

W Singapoore kandydatki do tytułu najpiękniejszej z najpiękniejszych muszą — zgodnie z uchwałą jury — pochwalić się również nie-naganą budową kościca. Stąd też na podium stoi aparat rentgenowski jako niezbędny w tych warunkach rekwiizyt wyborów.

JESZCZE JEDNA SZKOCKA ANEGDOTA

Pewien sławny szkocki lekarz, czując się chory, udał się do skromnego kolegi z przedmieścia, aby go zbadał.

— Dlaczego pan się sam nie leczysz? — zapytał go ten ostatni.

— Bo jestem za drogi! — odpowiedział chory.

MAŁCUŻYŃSKI TAK, RUBINSTEIN NIE

Nasi władcy od sprowadzania artystów zagranicznych powinni w zasadzie stawać na głowie, aby sprowadzić do Polski Artura Rubinsteina. Niemniej — nie stają. Wręcz przeciwnie — z powodu ich dziwnego ustosunkowania się do sprawy, Artur Rubinstein nie wystąpi u nas w obecnym sezonie. Po długich korespondencjach „raczyliśmy” natomiast zaakceptować przyjazd innego znakomitego pianisty — Witolda Małcużyńskiego. Przyjedzie on do Polski na trzy tygodnie, w listopadzie br.

Rozmawiamy z Czytelnikami

BARBARA ZAJĘCKA, Piła, Roosevelta 51/3. Piśze Pani: „pragnę podziękować za miłą niespodziankę, którą po powrocie z urlopu w wyniku losowania w stałym konkursie „Zdarzeń” zastałam w domu w postaci skórzanego portfela. Jestem pełna uznania dla całego zespołu tygodnika wypełnionego interesującymi artykułami i ciekawostkami z całego świata. Życzę dalszych sukcesów”. Dziękując za miły list zwracamy uwagę na nasz konkurs fotograficzny. A może nadesła Pani jakieś ciekawe materiały o Piile? Otrzymujemy z tego miasta wiele listów.

MIECZYSLAW BETLEJ, Kraków. Skrót „ca” pochodzi od słowa circa i oznacza „około”, „prawie”. Słowo to pochodzi z łaciny. Jeśli napotkamy na jakieś obce, niezrozumiałe dla nas słowo, należy zajrzeć do Słownika obcych wyrazów M. Arcta czy innego podobnego wydania. Sprawa obecnie o tyle się komplikuje, że na rynku wydawniczym brak takich wydawnictw. Jedyne wyjście to istotnie pisanie do redakcji a jeśli nam się śpieszy, można udać się do jakiejś większej biblioteki i sprawdzić w słownikach pochodzenie danego słowa. W mniejszych miastach takie słowniki lubią posiadać biblioteki szkolne.

MARIA CHOLEWKA, Kraków, ul. Traugutta, Ob. Horowitz, którego list zamieściliśmy w jednym z ostatnich numerów „Zdarzeń”, mieszka obecnie w Czelabińsku, ul. Karola Marksa 87. Na list ten zgłosiło się kilka osób.

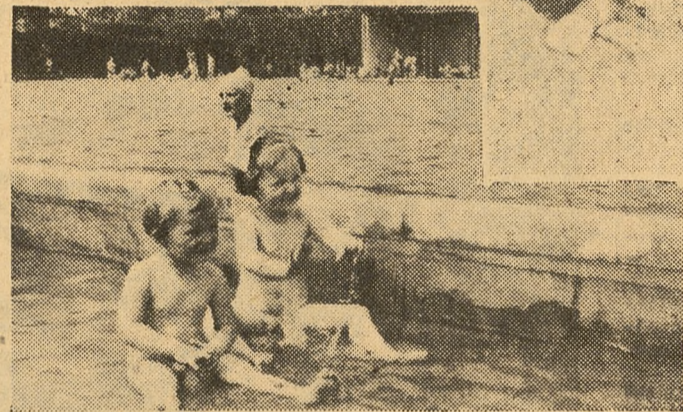
PAWEŁ BARTULEC, Śląsk, Cieszyński, Stonawa 100. Wysyłamy żądany numer na wystawę prasy polskiej i dla celów archiwalnych. Obawiamy się tylko czy egzemplarz dojdzie na czas.

Nasz konkurs

„ZABAWY DZIECI”



nadesłał A. Dębski Kraków (zdjęcia u góry i u dołu)



nadesłał Stanisław Pagaczewski Kraków



nadesłał A. Starowiejski Nowa Huta



RAYMOND PELLEGRIN

ur. 1 stycznia 1925 r. w Nicel. Zajmował się sprzedażą lodów, potem był kelnerem, wreszcie mechanikiem. W r. 1941 debiutował w teatrze w Nicel.

Po znacznych sukcesach w teatrze, gdzie grywał główne role, debiutuje w 1945 r. w filmie. — Kolejne znaczniejsze filmy: „Marie la Misere”, „Jericho”, „Topaze”, „Trois Femmes”, „Nous sommes tous des Assassins”, „Les Compagnes de la Nuit”, „Marchandes d'illusions”. „La Rage du Corps”. — Na zdjęciu w filmie „Prawo ulicy”.

NASZ KONKURS TRWA

ABY UMOŻLIWIĆ CZYTELNIKOM NADSYLANIE ZDJĘĆ — PRZEDŁUŻAMY TERMIN DO 1. XI. BR. BĘDIEMY REPRODUKOWALI ZDJĘCIA W KAŻDYM NUMERZE. JAK JUŻ POWIADAMIŚMY, WŚRÓD NAGRODZONYCH BĘDĄ ROZŁOSOWANE CENNE ZABAWKI.

Czystka ex-sportowa

częściej przy użyciu gwizdka — pilnują przepisów regulujących rozwój każdej sportowej akcji. Gwizdek, jako atrybut władzy sędziego — czasem staje się w ustach niezadowolonej widowni głosem sprzeciwu, a nawet godną napiętnowania postawą agresywną wobec powiedzmy: nie zawsze prawidłowych „wyroków” arbitra. Znajomość przepisów sportowych jest na ogół szersza i łatwiej dostępna, aniżeli żmudne studia prawnicze i grube tomy kodeksów. Długo też łatwiej zostać sędzią sportowym — trudniej zaś sędzią sadu różnych szczebli. W sądownictwie, zwłaszcza ostatnio — trzeba jednak mieć pewien rodzaj wykształcenia wyższego — w sporcie natomiast wystarczy znajomość przepisów, a także zdobyta rutyna zawodnicza. Tzn. że zawodnik, czyli sportowiec — który mógł popełniać dawniej przestępstwa wobec regulaminu — spokojnie, po egzaminach sprawdzających ma prawo ubiegać się o przywilej sędziego. Przestępca zwyczajny na ogół nie zostaje sędzią Trybunału...

Zresztą, nie o takich różnicach zamierzam pisać. Ani o analogiach. Po

KULT OMYŁEK

prostu o problemie sędziowania zawodów sportowych, oraz o ludziach, którzy się tego niezbyt popularnego zajęcia podejmują.

Przeglądając prasę sportową na przestrzeni ostatnich tygodni — coraz częściej można było spotkać zarzuty, wysuwane przeciw arbitrom piłkarskim. Nie chcę powracać np. do osławionej „branży” bokserkiej, gdzie nawet doszło do wytoczenia procesu pewnemu dziennikarzowi za krytykę pewnego sędziego. I tak sprawa znalazła się w prawdziwym sądzie. Co dziwniejsze, że ów sędzia bokserki poczuł się w skórze nieetykalności prawnej. Jakby jego „wyroki” sankcjonowało państwo...

Ha, któż jest nieomylny? Podobno sam papież jedynie w sprawach wiary. Nieomylny jest nieomylnością — a na boiskach piłkarskich dzieją się rzeczy, które zaczynają straszyć nagminną omylnością sędziowskiego gwizdka. Bo, w stosunkowo mało skomplikowanych przepisach gry futbolowej — oprócz sędziów, orientuje się prawie cała publiczność zgromadzona na zawodach. Inaczej, zresztą — nikt by nie rozumiał prostego sensu gry. Toteż ar-

biter znajduje się pod ciągłym ostrzałem krytycznych oczu. Istnieje dozwolona, jak gdyby, ilość omyłek sędziowskich — najzwyczajniej ludzka. Natomiast powtarzające się grubo omyłki — wbrew przepisom — ukazują postać sędziego w szatach przestępcy... „Przestępstwo” naturalne, ma tu znaczenie przenośne.

Przyjrzyjmy się dla przykładu owemu „przestępstwu”. Oto w ligo-wych rozgrywkach, gdzie walki wkroczyły w fazę „być albo nie być” — aż dwa razy podczas jednego tygodnia — sędzia nie uznaje prawidłowo zdobytych bramek. Na Śląsku nie dostrzegł lotu piłki do siatki, w Krakowie zaś ujrzał przewinienie przy oddawaniu strzału, chociaż zawodnik strzelający nie zetknął się z przeciwnikiem. Oba przykłady ilustrują niedwuznacznie zdjęcia („SPORT” i „GŁOS SPORTOWCA”). Rezultaty na stadionach pozostały bez zmian. A gdyby tak, za wzorem fotokomórki lekkoatletycznej — można było wpływać na odwołanie rażąco fałszywej decyzji sędziego? Przyznaję, że to grozi rewolucją w piłkarstwie — i nie ku temu zmierzam, ponieważ nie rewolucji tu po-

Polemiki

Wystawa i całowanie rąk

Jest zwyczaj w Polsce, z którego nie możemy się otrząsnąć. Zwyczaj z czasów niewolnictwa, gdy chłop pańszczyźniany całował „dobrodzieja” w cholewę, koniec żupana lub mankieta, żeby go nie bił, lub żeby mu jakąś ulgę w pracy uczynił; zdarza się tak czasem i teraz niestety! w stosunku chłopu ze wsi do „pana” z miasta, gdy się o coś prosi, ale mam na myśli inną sprawę, zwyczaj, czego na Zachodzie dawno już się nie widzi, całowania dam po rękach.

Prasa w Savoir Vivre dawno już o tym pisze i lekarze także czynią zmiany, ale to nie daje efektu, zbyt głęboko ten zwyczaj zakorzeniony.

Byłem parę dni temu na pewnej uroczystości w małym miasteczku, na otwarciu wystawy obrazów. Dużo ludzi dobrze się znających ze sobą, dużo obcych, panowie (nie wszyscy) całują panie po rękach, panie podnoszą ręce jak najwyżej, żeby przywitano się z nimi „jak należy”, i tu właśnie okropna rzecz, są „śmiałkowicie”, nawet z pomiędzy starszych panów co nie całują dam, mimo że tamte podnoszą ręce do góry, takich panów odważnych młodszych jest więcej, i jest coś niedobrze, atmosfera nie miła, damy zmieszane, jedna mówi: „a to cham nie pocałował, ten drugi to „dobrze” wychowany, uprzejmy, bo pocałował”, inna zaś starzy koledzy i ona też, jeden całuje drugi nie, co się stało, gniewa się? Jest niedobrze, nastrój bardzo głupi, kobiety na jednych mężczyzn wściekłe, dla drugich aż za dobre, mężczyźni też: „cholera całował ja też musiałem”, albo „co ona o mnie pomyśli on całował a ja nie, szkoda, przecież lubię ją” i tak dalej i dalej, straszny zwyczaj — w ogóle nastrój w całym tym zbiorowisku ludzi okropny.

Nikt nie myśli (zwłaszcza z kobiet pokrzywdzonych?) o dziełach sztuki rozwieszonych na ścianach, tylko o tym że ktoś kogoś obraził, (małe miasteczko), dzieła sztuki oczywiście w tym nastroju nie są wcale oglądane, nie spełniają rzecz prosta swej roli, inna sprawa dla oka i języka ludzkiego niestety! była ważniejsza.

— Proszę Państwa, zastanówmy się nad tym, czy nie wystarczy przywitać się z kobietą, nawet żoną czy matką swojego kolegi, zwyczajnie, podając serdecznie rękę; można przecież też przy tym powiedzieć coś miłego. A ty kobieto nie podnoś ręki do pocałowania, bo to nieprzyzwoicie, tobie może to sprawia przyjemność a drugiego żenuje. Pocałunek nie powinien być rzeczą tak spospolitowaną, choćby i w rękę. Pocałunek jest wyrazem pewnych uczuć, a nie najzwyczajniejszym gestem. J. P.

P. S. Zwyczaj całowania kobiet po rękach bardziej jest rozpowszechniony w małych miasteczkach, gdzie, jak złośliwiec mógłby powiedzieć, królują kołtuństwo. Mężczyzna całuje damę w rękę, bo myśli, że to dowód wychowania, kobieta, świeżo zamężna, że to jej urzędowy przywilej.

Każda organizacja ma swoje przepisy, które określają jej sposoby działania. Przepis, naturalnie — nie powinien pozostawać jedynie na papierze, choć życie w naszym kraju zbyt często ulegało temu nienaturalnemu odruchowi. Stąd pewnie znaczna ilość papierowych bohaterów... Któż by się dziwił ich pozytywności? Nie musieli i nie umieli działać — stanowiąc wdzięczne wycinanki ornamentacyjne z materiałów wyprodukowanych w fabrykach celulozy...

A więc: przepisy i prawa. Wiadomo, że na ich straży stoją funkcjonariusze, zwani sędziami. Sędzia — osoba ważna, godna i ciesząca się powszechnym szacunkiem. Przynajmniej tak być powinno. Dążymy do tego szczytnego celu, ażeby przywrócić Sądowi i Sędziom należną Urzędowi powagę oraz posłuch w społeczeństwie.

Oczywiście, nikt mnie chyba nie posądzi o chęć wypisywania w tej skromnej rubryce jakiegoś traktatu na tematy prawnicze. Sądy pozostawmy właściwym instancjom — natomiast zajmijmy się istotnie sędziami — choć idzie tu bardziej o popularną nazwę, niż ferowanie wyroków i rozstrzygnięć w imieniu prawa PRL.

Albowiem w tak pięknej dziedzinie życia, jak sport — spotykamy dostojnych ludzi, którzy w różnych strojach i okolicznościach — naj-

trzeba, lecz odpowiedzialności sędziowskiej!

Prawda leży w braku kwalifikacji. Prawda stara i do znudzenia powtarzana narodowi przy setkach okazji życiowych. Na cóż bowiem przydadzą się przepisy, jeśli nie znają ich ci, którzy są powołani do rozstrzygnięcia w myśl tychże przepisów? Sport jest tak długo przyjemną zabawą, dopóki jej uczestników obowiązują równe prawidła. Ładnie by wyglądały rozgrywki, gdyby sukces sportowy zamieniał się w porażkę na skutek „widzimiśnię” sędziego! Umiejętnościom zawodników, ambicji i sportowemu wysiłkowi — stanął by naprzeciw pan z gwizdkiem dyktujący swoje własne prawa sportowe. Niezła zabawa, ale umówmy się najpierw, że chodzi o jak najliczniejsze, improwizowane zmiany dotychczasowych przepisów!...

Tymczasem wolelibyśmy unikać takich zaskoczeń. Od sędziów piłkarskich wymagamy jeszcze znajomości regulaminu gry, a od zwierzęcych władz sędziowskich odpowiedniego doboru kadry „gwizdającej”, żeby widownia w słusznym oporze nie wygwizdywała — bądź co bądź — poważnych ludzi, którzy na zasadzie kultu omyłek znaleźli się wśród sportowców...

JERZY BOBER

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(17)

chał więc jeszcze raz do Podgórze. Właśnie przed pięcioma minutami Kobroni opuścił sklep. Mazurkiewicz usiadł przy ladzie zrezygnowany. Ekspedient oparł się o półki.

— Sześć nie miał dzisiaj humoru. Coś się widocznie mu przydarzyło — rzekł aby pocieszyć Mazurkiewicza by ten nie żałował, że nie zastał Kobronia. — A jak szef jest zły, lepiej z nim nie gadać.

— Ale niech mi pan powie gdzie go zła- pie.

Ekspedient wzruszył ramionami.
— Nie spowiada mi się gdzie bywa. Wpa- da na chwilę i tyle go widzę. Może na Słowackiego? — powiedział z filuternym uśmiechem.

— O tej porze — skrzywił się Mazurkie- wicz.

— W tym wieku każda pora jest dobra — rzekł ekspedient parszkając śmiechem.

— Dobrze, zadzwonię — Mazurkiewicz rozejrzał się za telefonem.

— Jeszcze nie dojechał — stwierdził eks- pedient.

— To do widzenia! — rzucił Mazurkiewicz zrywając się z krzesła.

— A co mam mu powiedzieć?

— Że go od rana szukam.

— Nazwisko można wiedzieć?

— Nazwisko? Niech mu pan powie, że go szukał Kowalski.

— Będę pamiętał. Mam wujka Kowal- skiego.

— Doskonale. Do widzenia.

— Szanowanie.

Przypuszczenia ekspedienta okazały się słuszne. Na Słowackiego otworzył mu drzwi Kobroni. Mazurkiewicz w jednej chwili zapomniał o trudach poszukiwań. Z miną dżentelmena zaczął stokrotnie przeproszać Kobronia, że go nachodzi w nieodpowied- niej chwili lecz, jak się tłumaczył, sprawa nie może ulec zwłoczce. Kobroni nie bardzo chętnie wpuścił go do pokoju.

— Mam mało czasu — oświadczył na wstę- pie.

— Tylko parę słów.

— O co chodzi? — Kobroni chodził po po- koju założywszy ręce do tyłu. Na tle dzie- siątków obrazów pokrywających ściany wy- glądał jak zatroskany kustosz jakiegoś mu- zeum.

— Mój przyjaciel z Warszawy, ten z któ- rym byłem u pana nie tak dawno, depeszo- wał do mnie, że transakcja z Hiacyntem mo- że dojść do skutku.

— Aha. — Kobroni zatrzymał się przed Mazurkiewiczem — przypominam sobie.

— Obiekt jest łakomym kąskiem i idzie o to, by ktoś pana nie ubiegł. Dlatego poz- woliłem sobie przyjść tutaj do pana.

— Ile on to chciał?

— O ile się nie mylę, osiemset tysięcy.

— W tym kawałek lasu, możliwości far- my lisiej, czy tak?

— Nie pamiętam. Wie pan, robię przysłu- gę koledze, nie mam z tego nic, więc nie in- teresuję się zbytnio szczegółami. Ale mogę sprawdzić.

— Ja pamiętam. Tak mówił ten młody człowiek.

— Muszę mu dać znać, więc czekam na pańską decyzję.

Kobroni pogłaskał się po łysinie.

— Dobrze. Załatwione. Mogę kupić. Po- trzeba mi coś takiego.

— Cieszę się zatem, że mogłem panu po- móc.

— Dziękuję.

— Telegrafuję do przyjaciela.

— Zaraz, zaraz. Muszę przecież najpierw widzieć to co zamierzam kupić.

— Naturalnie — oświadczył Mazurkiewicz — możemy pojechać do Zakopanego w któ- ryś dzień i obejrzeć.

— Pojechać, pojechać, tak się dobrze mó- wi. Ale kiedy?

— To zależy od pana. Radzę nie zwlekać.

— Pojutrze. Dobrze?

— Jak panu wygodnie.

— Zamówię taksówkę.

— Pojedziemy moim wozem. Zawsze to wygodniej.

— Tym lepiej. Zwrócę panu za benzynę.

— Drobnotoska. Nie ma o czym mówić.

— No to załatwione. Jedziemy pojutrze. Rano?

— Ale wcześniej!

— Mnie obojętnie kiedy i tak nie mogę sypiać. Nawet o czwartej.

— Mogę o czwartej. Lepiej się jedzie. Nie ma takiego ruchu na drodze.

— Nie chciałbym tylko pana fatygować. Koszty taksówki chętnie pokryję.

— A ja zapraszam pana do swego wozu.

— Dobrze, dobrze.

— Aha i jeszcze jedno. Dobrze, że sobie przypomniałem. Parkanowski pisał żeby pan wziął ze sobą pieniądze, bo chciałby transakcję przeprowadzić od razu. Potrzebne mu są pieniądze i to zaraz. Tak pisał.

— Wziąć ze sobą tyle pieniędzy? — Ko- broni podrapał się po głowie. — Czy to bez- pieczne?

— Przecież nas nikt nie napadnie — za- śmiał się Mazurkiewicz. — Zresztą nie zła- pali by nas tak szybko?

— A pan jeździ tak prędko? — zaniepo- koił się Kobroni.

— Nie, no ale... nie ma o czym mówić. Zresztą nikt nie będzie wiedział, że jedzie- my. Radzę raczej nie opowiadać nikomu. Bo po pierwsze transakcja zbyt poważna by nieodpowiednie osoby wiedziały o niej, po drugie po co wyzywać los. Teczke wsadzi- my do bagażnika i pojedziemy jak gdyby nigdy nic.

— No, pewnie, uspokoił się Kobroni — ostatecznie to znowu nie taka kwota, żeby

się komuś opłaciło napadać. Ale czy pan je- ździ ostrożnie?

— Pozwolę sobie zauważyć, że jestem wy- kładowcą w szkole kierowców.

— Niech się pan nie gniewa, ale jestem już człowiekiem starszym i wolę pięć mi- nut później dojechać aniżeli pięć lat wczes- niej zginąć.

— Pojedziemy tak, żebyśmy zajechali spo- kojnie, dobrze?

— Dziękuję.

— Więc umawiamy się tak: O czwartej rano podjeżdżam pod pana. Pan już będzie gotowy.

— Dobrze.

Mazurkiewicz wyciągnął rękę do pożegna- nia. Kobroni podał mu swoją.

— Niech mi pan powie czemu przy tym koleźce nazywał mnie pan magistrzem?

Mazurkiewicz roześmiał się.

— Ależ pan ma pamięć! Nie wiedziałem czy cały ten interes dojdzie do skutku i wo- lałem nie ujawniać mu pańskiego nazwiska. Tam gdzie wchodzi w grę pieniądze, lepiej uważnie z nawiskami.

— Bardzo pięknie. To był pański przyja- ciel, czy tak?

— Za nikogo ręczyć nie można. Przyja- ciel przyjacielem, i ja naprawdę dałbym so- bie za niego uciąć rękę, ale nigdy nie odstę- puję od zasady. Nazwiska jak najpóźniej.

— Bardzo mądrze.

— Ona się zresztą nie dopytywała. Tytuł magistra brzmiał nie obowiązuco. Zresztą nadawał się do tych ścian — Mazurkiewicz

W rękę trzymał niewielki bukietik fiołków, które kupił od przekupnia na Plantach. Wreszcie dojrzał jej miłą twarz pod dasz- kiem konduktorskiej czapki. Wskoczył na stopnie i przepchnął się w jej kierunku.

Nie spostrzegła go. Stała za nią i powie- dział ostrym głosem.

— Proszę bilet!

Odwróciła się ciekawa któż tak niecierpli- wie domaga się biletu i wtedy wręczył jej bukietik. Oczy jej zabłysły.

— Co pan wyrabia? — powiedziała zmie- szana. Poznała go od razu. Była zażenowa- na i wstydziła się przyjąć fiołki.

— A tu mój dług! — podał jej jeszcze mo- netę pięćdziesięcio groszową.

— Pamiętał pan? — powiedziała zdziwio- na. — Takie głupstwo.

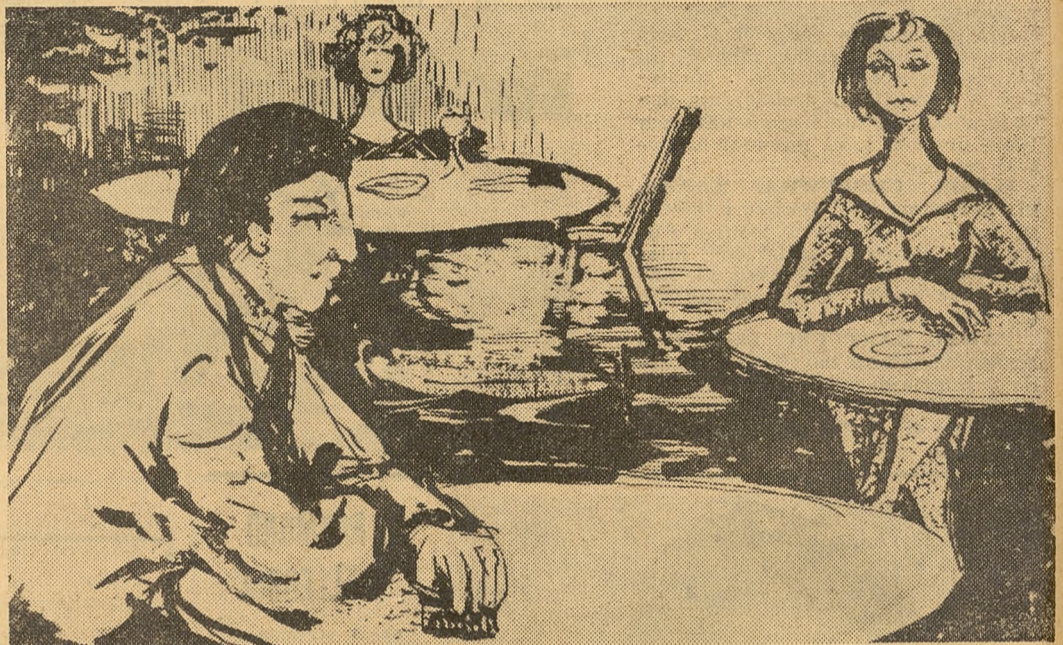
— O, nie proszę pani. Nie wolno mi było nadużyć pani zaufania. Jestem pani bar- dzo wdzięczny i dziękuję... a oto proszę o bilet — drugą ręką podał jej drugą pięć- dziesięciogroszówkę.

Konduktorka była stropiona. Bąknęła coś pod nosem i przyłożyła bukietik do nosa.

— Pan jest bardzo miły — rzuciła z tru- dem decydując się na jakieś słowa. Bukie- cik wetknęła w dziurkę od guzika przy mun- durze. Monetę wrzuciła do torby i oddała bilet.

Pasażerowie przyglądali się im z ciekawo- ścią. Oczywiście po chwili znalazła się stara i zgryźliwa paniusia.

— Tu nie miejsce na romanse — prawie,



powiedział ręką po pokoju — całość tworzyła wiarygodną scenę.

— Magister Kobroni — zachichotał Ko- broni trzęsąc bruchem — wcale nieźle brzmi. Nawet Neli się podobało. Muszę pa- na z nią poznać.

— Słyszałem, że bardzo piękna kobieta.

— No, no, sam pan zobaczy — odpowie- dział usatysfakcjonowany Kobroni — przy okazji. A może wziąć ją do Zakopanego? Co pan sądzi o tym?

— To pańska sprawa — rzekł Mazurkie- wicz bezbarwnym głosem.

— Z drugiej strony chciałbym jej zrobić niespodziankę. Nie, pojedę sam. Będzie gry- masić, wybierać kolor tynku, nie wstanie tak wcześniej.

Mazurkiewicz rzekł ścisłym głosem.

— A myślę, że jeszcze wieczorem zabawi- my się w Watrze.

Kobroni podniósł rękę do góry.

— O, proszę pana, za stary jestem na ta- kie rzeczy — i pokazawszy perskie oko Ma- zurkiewiczowi powiedział również cicho — pewnie, że się zabawimy. Jeszcze jakieś sły- mam w zapasie. Żeby tylko Nela się o tym nie dowiedziała.

Mazurkiewicz pochylił się nad nim.

— Dlatego radzę trzymać cały wyjazd w tajemnicy. Przyjedziemy z powrotem z kon- traktem w kieszeni, wtedy można ujawnić cały spisek.

— Ma pan rację. Bardzo mądrze. Nie pi- snę ani słówka. Wyjdę z domu i zapowiem, że wrócę późno.

— Dobrze. Zatem nie podjadę pod pański dom lecz będę czekał na pana...

— Gdzie?

— Właśnie myślę. Na rogu Karmelickiej, tam gdzie pompa benzynowa.

— Bardzo mądrze. Te kilka kroków podej- dę sam. Jak tajemnica to tajemnica.

— Więc do piątku...

— Do piątku.

Uścisnęli sobie serdecznie ręce. Kobroni objął Mazurkiewicza w pól odprowadzając go do drzwi wejściowych.

— Potem będzie pan mógł zawsze zamie- skać u mnie w Zakopanem.

— O, dziękuję. Często tam jeżdżę.

— Pokój do dyspozycji.

— Dziękuję. Kiedyś na pewno skorzystam.

Mazurkiewicz wyszedł na ulicę i założył przeciwsłoneczne okulary. Głęboko odetchnął. Słońce stało już wysoko na niebie i na- grzana chodnik palił pod nogami.

*

Stał dobre pół godziny pod Skalą czeka- jąc na tramwaj ze znajomą konduktorką.

że wykrzyknęła ze złością. — Albo się bie- rze pieniądze za pracę albo nie.

Mazurkiewicz zmierzył ją nieprzychylnym wzrokiem.

— Niech się pan tak nie patrzy. Nie boję się. Widzicie państwo. Romanse na oczach ludzi. Coś podobnego.

— Dziękuję — rzekła półszepsem kondu- ktorka i odeszła na platformę. Mazurkiewicz usłyszał jej przyjemny głos.

— Proszę, komu jeszcze bilet!

Stała na palcach by ją jeszcze zobaczyć ponad głowami pasażerów. Uśmiechnęła się do niego. Wiatr burzył jej włosy pod czapka.

Wyglądała ładnie i podobała mu się. Nie miał jednak czasu. Postanowił przy okazji umówić się z nią, zaprosić na dancino, poka- zać dziewczynie trochę dobrego życia. Na placu Wszystkich Świętych wysiadł. Kiwnął jej jeszcze ręką na pożegnanie. Był zadowo- lony i wesoly.

*

Na klatce schodowej napotkał panią Ja- spisową. Powoli pięła się na trzecie piętro. Winda była od lat popsuta i nikt nie troszczył się o przywrócenie jej do stanu używal- ności, mimo protestów lokatorów z trzecie- go i czwartego piętra. Pani Jaspisowa przy- stawała na półpiętrach odpoczywając. U- śmiechnęła się przyjaźnie do Mazurkiewicza idącego szybko po schodach.

— Władziu — powiedziała odpowiadając na jego grzeczny ukłon — proszę wpaść dzi- siaj do nas. Będzie kilka osób.

— Bankietek? — zaśmiał się Mazurkie- wicz.

— Trzeba przecież od czasu do czasu po- żyć po ludzku. Dawniej nie było dnia, żebyś nie wpadł do nas.

— A o której?

— Tak koło ósmej.

— Nie wiem, czy zdążę.

— Władziu — przysunęła się bliżej do nie- go. Była niska, gruba. Stała więc na pal- cach i szepnęła mu do ucha. — Przecież to dla ciebie. Gdyby nie ty... — uśmiechnęła się, pokazując sporo złotych zębów. Jej utle- nione włosy rozczasyły za każdym ruchem głowy słodki zapach perfum.

— Ale przyjdę, naturalnie. Zartowałem tylko. Stęskniłem się — powiedział ociera- jąc się policzkiem o jej policzek.

Nagle posłyszeli powyżej hałas otwiera- nych drzwi i odskoczyli od siebie.

Pani Jaspisowa podniosła do góry siatkę, w której niosła kilka butelek owiniętych w papier.

— Bomba jest!

(Ciąg dalszy nastąpi)